






V
B
J
C



HAJOTA.

ZGUBIONA



KAZIMIERZ KOTLARSKI
KSIĘGARNIA ≡ LUBLIN 1925.

HAJOTA.

ZGUBIONA.

KAZIMIERZ KOTLARSKI
KSIĘGARNIA.
Lublin 1924.

ODBITO ANASTATYCZNIE W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH J. PIETRZYKOWSKIEGO W LUBLINIE SPOSOBEM WYNALEZIONYM PRZEZ KAZIMIERZA KOTLARSKIEGO I ZGŁOSZONYM DO PATENTU POD NAZWĄ „KOPJATURA".



I.

iec to nieodwołalnie dzisiaj?

— Dzisiaj!

Pytanie wymówił głos męzki, odpowiedź — kobiecy. Oba były młode, dźwięczne i bardzo smutne, jak ci, do których należały.

Mężczyzna siedział w rogu szerokiéj, staréj kanapy, opierał się łokciem o wytarty, spłowiały adamaszek jéj poręczy, i białą, chudą ręką podtrzymywał głowę zwieszoną na piersi. W tém pochyleniu rysy jego regularne i pociągające wydawały się zmęczone i ostre, a ciemne oczy patrzyły prawie ponuro z pod szerokiego, inteligentnego czoła na klęczącą pośrodku pokoju kobietę.

Ta była blada i wątła.

Miała wiele słodyczy w spojrzeniu ciemnych także oczu i wiele stanowczości w rysunku różowych ust. Bujne, złotawe włosy, skręcone w gruby węzeł przytrzymywała z tyłu głowy wielka czarna szpilka, a czarna gładka suknia, niklejszą jeszcze czyniąca

jéj kibić, roztaczała się na podłodze szeroką żałobną oszewką. Drobne jéj ręce napełniały wielki kufer rozrzuconemi dokoła przedmiotami, ale wzrok, odrywając się często od tego zajęcia, spoczywał przelotem na zachmurzonéj twarzy młodego człowieka, i wtedy usta jej drgały lekko i zaciskały się jakby dla stłumienia wyrazów, co się na nie cisnęły.

W pokoju, po zamianie powyższych dwóch zdań, panowało zupełne milczenie.

Wązkie podwórze i wysoka frontowa kamienica oddzielały go od ulicznego gwaru i turkotu, który dochodził tu przecież słabym i stłumionym odgłosem, przypominając sąsiedztwo wielkiego miasta. Przez ogołocone z firanek okna płynęło światło jednego z najposępniejszych, październikowych dni, zabarwione od przeciwległego muru żółtawym odcieniem. W tém oświetleniu cały pokój, mający niby pozór saloniku, wyglądał smutno i chorobliwie, począwszy od perłowego niegdyś obicia, a skończywszy na wyblakłéj, łysemi plamami poznaczonéj posadzce. Sprzęty po kątach stały tak, jakby je w chwili zniechęcenia popchnęła rozdrażniona ręka; jeden tylko fortepian połyskiwał otwartą klawiaturą, jakby zadowolony z siebie poczciwiec żółtawemi zębami w szerokim, dobrodusznym uśmiechu.

Przez otwarte pojedyńcze drzwi widać było drugi, mniejszy pokoik. Stały w nim dwa puste łóżka, na środku tłumok z pościelą i otwarta wypróżniona szafa. Flaszeczki i recepty walające

się na oknie i stoliku, oraz nieokreślona woń lekarstw mówiły o niedawnéj chorobie, która nie musiała ztąd odejść z niczém, sądząc po żałobnéj sukni młodéj kobiety.

Ona tymczasem skończyła pakować kufer i wstawszy z klęczek, z lekkiemi rumieńcami utrudzenia na policzkach, podeszła do zadumanego na kanapie mężczyzny.

— Nie bądź tak smutny, Maryanie — rzekła, kładąc mu rękę na ramieniu — przecież nie rozstajemy się na zawsze. Byłam dziś u panny Waleryi, wiesz, téj staruszki, która czasem odwiedzała mamę, i prosiłam jéj, żebyśmy się kiedyniekiedy widywać u niéj mogli. Dam ci jéj adres, i . . .

— Widywać u niéj kiedyniekiedy — przerwał z goryczą — piękna pociecha, zaiste! To znaczy siedzieć naprzeciwko siebie przez parę godzin pod okiem staréj dewotki, prowadzić obojętną rozmowę z uwzględnieniem jéj pobożnych uszu i rozejść się po to, żeby za parę tygodni spotkać się napowrót w tych samych warunkach i znowu się rozejść, i tak daléj i daléj, dopóki panna Walerya nie przeniesie się do wieczności, albo . . .

Urwał i poruszył się niecierpliwie.

— Albo co? — spytała spokojnie kobieta.

— Albo dopóki które z nas, sprzykrzywszy sobie te rozkószne wizyty, nie obejrzy się za przyjemniejszém spędzeniem czasu — odparł prawie szorstko.

— Sądzisz więc, że cię to tak prędko znudzi? — rzekła łagodnie ona — bo mnie chyba nie możesz mieć na myśli?

Maryan wziął zwolna rączkę, spoczywającą wciąż na jego ramieniu, i przycisnął ją do ust w długim pocałunku.

— Przebacz, Bronisiu — wymówił — jestem zły i niegodziwy: zamiast pocieszać, dręczę cię tylko zawsze, ale gdybyś wiedziała, co się we mnie dzieje gdy patrzę na ciebie idącą między ludzi, na tę ciężką niewdzięczną pracę, i nie mogę ci powiedzieć: zostań przy mnie, bo i cóżbym ci dał?... większe tylko troski i cierpienia! Gdybyś wiedziała, jak mnie to strasznie boli!

Obiema dłońmi przycisnął jéj rękę do piersi i wpatrzył się w nią z wyrazem, aż nadto prawdziwość słów jego stwierdzającym.

Ona starała się uśmiechnąć drżącemi ustami, które jéj odmówiły posłuszeństwa. Zajęła więc tylko miejsce, które jéj Maryan na kanapie zrobił, i znowu nastało milczenie.

A gdy tak siedzieli blizko siebie, zapatrzeni w przeciwległą ścianę, zdając się każde z osobna podążać za biegiem myśli posępniejszych niż ten bezsłoneczny, jesienny dzień, trudno było odgadnąć stosunek, jaki ich łączył.

Mogli być zarówno mężem i żoną, jak bratem i siostrą. Nie byli przecież ani jedném, ani drugiém, nie byli nawet parą narzeczonych; pomiędzy nimi

stała tylko miłość, dziwna, smutna, wyjątkowa miłość, będąca nie jak ogniwo, lecz jak mur, o który opierali się oboje, ale który spoić ich nie był w stanie.

— Straszna to jednak rzecz — ozwał się pierwszy Maryan — wiedzieć, że jutro koniecznie nastąpić musi, a nie mieć w tém jutrze żadnéj przyszłości, żadnéj nadziei; szarpać zdrowie, siły, ducha po to tylko, aby mieć usta niegłodne i ciało nienagie i kawałek dachu nad głową; żyć tylko dla przedłużenia życia, które nam, jak wyciśnięta cytryna, ani kropli ożywczego soku dać nie może! I żeby chociaż mieć tę pociechę, żeśmy sami kiedyś wycisnęli tę cytrynę, łatwiéjby się teraz umierało z pragnienia, ale tak . . .

Zerwał się z kanapy, i przeszedłszy parę razy pokój, stanął przed Bronisią, która go słuchała nie podnosząc oczu.

— Patrz, Bronisiu — zawołał gwałtownie — przecież my jesteśmy młodzi, przecież my mamy jakieś prawa do szczęścia, równie dobre, jak każdy kwiat, co się rozwija, ma prawo do słońca! I cóż nam z tych praw? Oto ja ciebie kocham i ty mnie kochasz, a jednak rozejdziemy się jak obcy, bo ten chleb, dla którego sprzedajemy samych siebie, wyżywićby nas nie mógł. W tym wieku, w którym wszystko uśmiechać się do nas powinno, będziemy musieli poprzestać na garstce wspomnień . . . tylko wspomnień . . . i to jakich! Bo czyż nam to wy-

starczyć może, Bronisiu, że serca nasze zrozumiały się przed trzema laty, żem ja odtąd przychodził tu codziennie popatrzéć na ciebie, posłuchać czytania, którém wieczorami rozrywałaś schorowaną matkę, szepnąć ci czasem, że cię kocham, i pożegnać cię, nie śmiejąc nawet na dobranoc czoła twego dotknąć ustami! Powiesz mi, że to były bardzo piękne i kochane chwile, że teraz, gdy nam ich zbraknie, stokroć nam się droższemi staną. Prawda! Ależ, Bronisiu, jasny wschód słońca dziwnie bladym się wyda, gdy ma być zarazem południem, a my podobno już przeżyliśmy takie południe!

— Maryanie — ozwała się Bronisia, podnosząc na niego wilgotne, lecz stanowczością błyszczące oczy — i pocóż rozdrażniać się takiemi obrazami? poco kłaść więcéj kiru na to, co już jest i tak dosyć czarne? Widzisz, ja jestem kobietą, niema tygodnia jak zostałam sierotą, dziś przyjmuję tak mi zawsze wstrętne obowiązki nauczycielki domowéj, a przecież nie rozpaczam. Nie spodziewając się niczego, nie zwątpiłam jednak zupełnie, aby już dla nas żadnéj przyszłości nie było.

— Przyszłości? — zaśmiał się Maryan z goryczą — jakiej? Przyszłość rodzinie nie kobieta, lecz mężczyzna stwarza, a jam do tego niezdolny. Cóż ze mnie zrobili ci, którym jestem winien to życie, jakie przeklinam? Dali mi chore ciało, wydelikacone nierozsądną czułością, bezmyślném wychowaniem osłabili umysł, rozegzaltowali i tak wrażliwą wy-

obrażnię, a potém z pod klosza téj sztucznéj egzystencyi wypuścili na mróz rzeczywistości; i cóż dziwnego, że się roślina zwarzyła, że zamiast wydać kwiat i owoc, stała się oto takim bezużytecznym chwastem.

Młoda dziewczyna westchnęła, i chcąc odwrócić rozmowę od niemiłego przedmiotu, spojrzała na zegarek.

— Druga — rzekła — mam jeszcze trzy godziny czasu. Rzeczy moje już spakowałam. Sprzęty zabiorą dopiero po mojém wyjściu. Przykroby mi było patrzéć, jakby je wynosili. Zżyłam się z niemi od lat tylu, z każdym łączy się jakieś wspomnienie . . .

— Wszystkie sprzedałaś? — zapytał Maryan.

— Wszystkie. Jego tylko zachowałam na pamiątkę — odparła, wskazując oczyma na stojący pod oknem głęboki, staroświecki fotel o wysokiém oparciu, z tak zwanemi uszami, i szufladkowych poręczach.

Podeszła ku niemu i oparła się o jego drewniany, żółtemi gwoździami nabijany bok.

— Biedna mama! — mówiła — ośmnaście lat życia spędzić na jedném miejscu. Ten fotel tak nierozłącznie wiąże się z nią w moich wspomnieniach. Nie pamiętam jéj zdrowéj i chodzącej. Miałam zaledwie trzy lata gdy ją sparaliżowało. Patrz, tutaj, gdzie skóra bardziéj wytarta, opierała zawsze głowę do poobiedniéj drzemki. W téj szufladzie leży jéj ostatnia robota tak, jak ją po raz ostatni złożyła,

a w téj jéj okulary i pudełeczko z pastylkami, które tak lubiła... Gdzież jabym mogła rozstać się z tym fotelem...

Przycisnęła obie ręce do wilgotnych oczu, ale je wnet opuściła, wstrząsając głową, jakby dla odpędzenia natrętnych myśli.

— Nie, nie — rzekła — dosyć będę miała na to czasu w samotności. Teraz korzystajmy z tych kilku chwil, jakie nam zostają. Wiesz — ciągnęła dalej, zbliżając się już z uśmiechem do Maryana — nim przyszedłeś zajmowałam się gotowaniem. Nasza służąca wczoraj już odejść musiała, ale kucharka z przeciwka nauczyła mnie jak się gotuje rosół i przyrządziła mięso na befsztyk; teraz go tylko usmażę. Kartofle już się dogotowywują, kompot zrobiłam; wszak zjesz ze mną obiad?

Maryan patrzył na nią, gdy mówiła, i dziwny wyraz przesunął się po jego twarzy.

— Ja ciebie czasem zrozumieć nie mogę — rzekł zwolna — w takiéj chwili pamiętać o kartoflach i kompocie... Gdyby to zrobiła Flamandka, nie dziwiłbym się... ale ty! z twoją artystyczną duszą, z twojém usposobieniem pod tylu względami do mego podobném...

— Pod jednym wszakże różnimy się stanowczo — przerwała Bronisia. — Ty się otrząsasz na wszystko, co pospolite i codzienne, ty pojmujesz tylko szczęście i poezyę na tle włoskiego nieba i marmurowych krużganków, wśród woni kwiatów,

szmeru fontann; ja potrafiłabym je znaléźć w czterech ścianach tego oto pokoju. Ty umiesz i chcesz tylko chłonąć piękno w siebie, ja staram się, o ile mogę, roztaczać je na to, co samo przez się pięknem nie jest. I w tém może — kończyła z coraz większym smutkiem w głosie — i w tém może tkwi istotna przyczyna, dla któréj dzisiaj rozstać się musimy.

— Prawda — zawołał Maryan z ogniem — jestem takim, nie przeczę! Daj mi środki, żebym cię mógł wywieźć tam, gdzie kwitną pomarańcze, otoczyć arcydziełami sztuki, przepychem, a zobaczysz, jak będę umiał czuć, kochać, uszczęśliwiać. Ach! jakabyś ty była piękna, Bronisiu, jaka piękna w greckiéj, przetykanéj złotem ampehonie, leżąca na futrze pantery, ze złotemi naramiennikami na obnażonych rękach!

— Tak — rzekła — ale ta piękna, przed którąbyś wtedy klęczał i którąbyś uwielbiał, ta piękna wydałaby ci się trywialną, a może nawet śmieszną w gospodarskim fartuszku i przy domowych zajęciach; i w rezultacie uciekałbyś od niéj, nieprawdaż?

Maryan spuścił głowę.

— Pogardzaj mną, jeżeli chcesz — odparł stłumionym głosem — ale zdaje mi się, że takby było.

— Pogardzać tobą! — powtórzyła z bólem — nie wymawiaj nawet tego wyrazu, Maryanie! Mnie tylko ciebie żal, tak, żal...

Zatrzymała się, silnie wzruszona.

— Ale tymczasem — dodała po chwili, przerzucając się w ton żartobliwy prawie — choćbyś mnie miał natychmiast przestać kochać, ja o moich kartoflach pamiętać muszę. Inaczéj na nic się przegotują!

Wyszła z pokoju i Maryan usłyszał ją krzątającą się w kuchence za ścianą. Nie mógł jednak widziéć, jak pilnując smażącego się mięsa, przyciskała ręką serce, jak czynią ci, co w niém wielki ból czują, podczas gdy łzy spadały w lśniących, szybkich kroplach na jéj sierocą suknię.

Niezadługo wróciła z twarzą zarumienioną od ognia i płaczu, ale już z uśmiechem na ustach i obiadowemi przyborami w obu rękach.

— Ostrożnie — rzekła do Maryana, który jéj pomagał w ustawianiu talerzy — ostrożnie, żeby nie stłuc, bo to wszystko już zapłacone i nie moje.

Zasiedli do stołu. Maryan jadł mało; w milczeniu patrzył na siedzącą naprzeciwko niego Bronisię, przygryzał usta i z każdą chwilą posępniejszym się stawał.

— To nasz pierwszy obiad we dwoje — odezwał się wreszcie.

— I ostatni — rzekła Bronisia, a podsuwając mu kompot, dodała — jedz, proszę, wiesz przecie, jaka to była dla mnie przyjemność częstować cię tém, co lubisz. Kto wie, czy jéj jeszcze doznam kiedy.

Tymczasem krótkie życie jesiennego dnia gasło zwolna. Gdy Bronisia, pozmywawszy naczynia w kuchni, wróciła do saloniku, było już w nim zupełnie szaro.

Maryan stał przy oknie i patrzył na przeciągające leniwie popielate chmury ponad małém, błotnistém podwórkiem.

— Zagraj, Bronisiu — rzekł, nie odwracając się.

Ona siadła do fortepianu i świetna węgierska rapsodya Liszta zabrzmiała pod jéj palcami, które zdawały się umyślnie szukać najhałaśliwszych, najostrzejszych akordów, aby zagłuszyć melancholię, opanowującą duszę grającéj. Nieznacznie jednak tony cichły i wolniały, urwana w połowie rapsodya zamieniła się w smętne, jakby w rozmarzeniu płynące po klawiaturze pasaże; Bronisia pochyliła głowę i zaczęła improwizować.

Miała dużo zmysłu muzykalnego i artystycznego poczucia, i prosty motyw piosenki ludowej, z którą zapewne łączyło się jakieś wspomnienie, powracał w coraz innych waryacyach, napełniając ciemnawą ciszę saloniku melodyą teskną i denerwującą swą śpiewnością.

Maryan, jakby mimowolnie pociągnięty, odstąpił od okna i stanął za krzesłem Bronisi.

Ona nie uważała tego. Nie czuła, jak przyśpieszony jego oddech coraz bliżéj owiewał jéj włosy.

— Kocham cię — szepnął głos Maryana tuż nad jéj czołem.

Bronisia drgnęła lekko, lecz nie przestała grać.

— Kocham cię — powtórzył ciszéj — kocham, kocham!

Głowa jéj, jakby pod działaniem magnetycznych pociągnięć, chyliła się w tył nieznacznie za każdym wyrazem, aż przechyliła się zupełnie i oparła o piersi Maryana, a on jéj usta wziął swemi ustami na własność: chwilową w rzeczywistości, wieczystą w pamięci.

Ręce Bronisi zsunęły się na jéj kolana po klawiszach, z których wyszły dźwięki stłumione i fałszywe i skonały zwolna chropowatém echem w głębokiéj ciszy saloniku.

W téj chwili zadzwoniono w sieni. Był to stróż, pytający czy już trzeba zawołać dorożkę i znosić rzeczy panienki.

II.

Piąta godzinę wybił srebrny zegar stojący pod wielkiém lustrem, którego mahoniowe ramy były przedłużeniem rzeźbionego kominka w buduarze państwa Augustów X. Nizkie, głębokie fotele, filgranowe krzesełka, rozmaicie powyginane kozetki, obciągnięte ciemno-wiśniową, haftowaną w srebrne

kwiaty materyą i przyozdobione srebrnemi sznurami, stały na dywanie tegoż koloru i deseniu, zaścielającym cały pokój, i opierały się o ściany z obiciem również ciemno-wiśniowém, ujętém w ramy szerokich, srebrnych lamperyj. Ciężkie fałdy wiśniowych firanek i portyer podtrzymywały srebrne buliony. Pod oknami na mahoniowych postumentach stały dwa srebrne wazony, w których kwitły pyszne krzewy karmazynowych kamelij. Od sufitu na srębrnych łańcuchach zwieszała się lampa, której ciemno-rubinowe światło nadawało całemu pokojowi dziwnie ciepły a niejaskrawy koloryt.

Naprzeciw kominka, na którym dogasał już ogień, siedziała wgłębiona w otomankę pani domu. Nadzwyczaj jasna blondynka z rozsypującemi się wokoło czoła i skroni kędziorkami, z różową, delikatną cerą, z parą szeroko otwartych zmiennego koloru oczu i z odrobinę zadartym, o ruchliwych skrzydełkach noskiem, wyglądałaby prawie dziecinnie, gdyby nie bogato rozwinięte kształty, które czyniły ją tém, co Francuzi nazywają *belle femme.*

Obok niéj siedział mąż, piękny, w sile wieku mężczyzna. Była z nich bardzo dobrana i bardzo kochająca się para; siedzieli téż tuż przy sobie; pan August obejmował ręką kibić żony, a ona opierała mu główkę na ramieniu. Nikt zaś nie mógł ich posądzić o popisywanie się z tą małżeńską czułością dla świata, gdyż w pokoju, oprócz ich dwóch bawiących się na dywanie córeczek, nie było nikogo.

Uważano ich powszechnie za ludzi wyjątkowo szczęśliwych. Pan August był jednym z najwzięższych adwokatów, miał ogromne dochody i opinię człowieka nieposzlakowanéj uczciwości: dwie rzeczy rzadko razem chodzące w parze; ożenił się z serdecznego przywiązania, żona mu nigdy nie chorowała na nerwy, dzieci nigdy nie chorowały na krosty, ani na difteritis, miał dużo życzliwych, ale, jak zapewniali najlepiéj wtajemniczeni w jego stosunki wewnętrzne, ani jednego przyjaciela domu. Pani Kordula zaś (tak nieestetyczne imię nosiła ta nawskróś estetyczna istota) nie wiedziała co to jest zażądać od męża pieniędzy na nową suknię i usłyszéć: «nie mam, moje życie,» co znaczy utrudzić się lub zadać sobie jaki przymus, bo wszystko, co ją otaczało, obliczone było na uwygodnienie i uprzyjemnienie jéj życia. Lubiła się bawić — i bywała w karnawale na balach, a w poście na rautach: lubiła rozmaitość — i jeździła co lato za granicę: lubiła się pieścić — i miała dwie śliczne córeczki, które jéj wskakiwały na kolana i zarzucały rączki na szyję, no — i męża gotowego zawsze pocałować ją w usta i objąć ją wpół, jak ot w téj chwili. Jedyném jéj zmartwieniem było to nieszczęsne imię, nadane jéj przez starą ciotkę, która ją do chrztu trzymała i głosiła, że jéj cały majątek zapisze (więc nikt nie zaprzeczy, że miała prawo nazwać ją nawet Bonawenturyą lub Pafnucyą), tymczasem rozmyśliła się przed śmiercią; filantropia wzięła w niéj górę

nad rodzinnemi uczuciami i niezamożną siostrzenicę przykry spotkał zawód.

Dobrze przynajmniéj, że pan August ożenił się z miłości, bo i on byłby mógł miéć pretensyę do niestałéj ciotki; przyjął to jednak filozoficznie, a żonę nazywał Orcią, z któréj to przeróbki rzeczywistego jéj imienia trudno się było domyśléć; ci zaś, którzy do takiéj poufałości prawa nie mieli, mówili do niéj «pani Koro,» co brzmiało nawet wcale ładnie i przywodziło na pamięć jakąś rozkosznie ociężałą kreolską piękność.

Przed niedawnym jednak czasem na pogodném niebie pani Kory zjawiła się lekka chmurka. Córeczki jéj podrastały — jedna skończyła lat dziesięć, druga ośm — potrzebowała do nich dobréj nauczycielki, a o tę trudniéj jeszcze niż o bonę, która, gdy ma paryzki akcent, zaspakaja wszystkie wymagania. Pani Kora zwierzała się z tym kłopotem przed swemi przyjaciółkami w trakcie rozmowy o szalonych cenach kapeluszy i oryginalnym kroju okryć ostatniego sezonu, i załamując z wdziękiem śliczne rączki, pytała, czy nie wiedzą czasem o jakiéj wykształconéj a moralnéj młodéj osobie — ach! zwłaszcza moralnéj — dodawała z wyrazem zgrozy na samę myśl o czémś przeciwném — ja się tak boję brać z kantoru! *Ces personnes là* są teraz tak niemożliwéj konduity!

Panie potakiwały, twierdząc, iż przyjąć do domu kobietę młodą i pracującą, a więc z konieczności

saméj sobie zostawioną, było istotnie wielkiém ryzykiem, i przegląd magazynów szedł w dalszym ciągu.

Ale przed paru dniami jedna z tych dam przyszła umyślnie oznajmić pani Korze, że znalazła potrzebną jéj perłę.

— Panienka młoda — mówiła — wychowana bardzo starannie, dotychczas dawała lekcye po domach, ale matka umarła, nie mogłaby więc sama mieszkać...

— Och! naturalnie — potwierdziła pani Kora, wielce na wszelkie *shoking* drażliwa.

Porozumiano się wprędce. Ta pani wprawdzie nie znała sama Bronisi, ale przyjaciółka jéj siostry miała kuzynkę, mieszkającą w tym domu co ona, zkąd więc najdokładniejsze wiadomości. Zawezwana bilecikiem Bronisia stawiła się u pani Kory — wydała jéj się „*insignifiante,*“ tak jak wogóle wszystkim powierzchownie sądzącym oczom — lecz tém mniéj budząca przez to obaw, zresztą «wcale dobrze i przyzwoita;» stanęła więc ugoda, i Elcia i Minia ciągle spoglądały teraz ku drzwiom, oczekując z natężoną ciekawością przybycia nowéj nauczycielki.

— Wiesz co, Orciu — ozwał się pan August, gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie zegaru — nie powinienbym tego mówić, ale drażni mnie wmieszanie się obcego żywiołu w nasze domowe życie. Tak nam dobrze było dotąd samym!

— Przecież mieliśmy już bony! — odparła pani Kora.

— Och! cudzoziemki, moje życie — to się nie liczy, to jak nieme osoby w komedyi... teraz przy stole nawet nie będzie można swobodnie porozmawiać.

Słabe pociągniecie dzwonka u drzwi wchodowych przerwało dalsze narzekania pana Augusta.

— To pewno ona — rzekła pani Kora, nie zmieniając postawy. — Podoba mi się to, że punktualna. Zapowiedziałam, żeby ją tu zaraz Kazimierz wprowadził.

— Nie spytałem też dotąd, czy przystojna?

— Obchodzi cię to jednak? Kto wie, czy to mnie raczéj ten obcy żywioł drażnić nie będzie.

Uśmiechnęli się oboje. Pan August przytulił mocniéj żonę do siebie, a w téjże chwili niewidzialna ręka lokaja otworzyła drzwi i do buduaru weszła Bronisia.

Pani Kora, podniósłszy się zwolna, podała jéj rękę.

— Dobry wieczór pani — rzekła uprzejmie — proszę, niech pani siada.

Przedstawiła jéj męża i zawołała na dzieci, żeby się przywitały. Dziewczynki dygnęły, jak sprężynowe lalеczki, i przytuliwszy się do matki, nie spuszczały z oczu przysłonionych długiemi rzęsami przedmiotu swéj ciekawości i obawy zarazem.

Bronisia usiadła. Ciepła i wonna atmosfera buduaru objęła jéj członki zesztywniałe jazdą w mokréj dorożce, przez chłodne, błotniste ulice. Mimowoli stanęły jéj przed oczyma nagie, szare ściany saloniku, w którym parę godzin temu siedziała z Maryanem na wytartéj, spłowiałéj kanapie. Co za różnica między tym, miękkim, estetycznym komfortem a tą twardą, brzydką miernością! Co za różnica między tych dwojgiem ludzi, których, wszedłszy tu, zastała tak tkliwie do siebie zbliżonych, tak pogodnie i spokojnie używających szczęścia, jak ci, co są do niego przyzwyczajeni, a ciężkiém życiem nieurobionego do życia marzyciela, który ją tak smutnie przed bramą pożegnał, i jéj własną sierocą dolą?

Nawet gdy stała nad otwartym grobem i patrzyła za niknącą w nim trumną matki, uczucie osamotnienia nie dotknęło jéj w tak okrutny sposób, jak w téj chwili. Jakby odgadując niechętne uwagi pana Augusta, zrozumiała, że w tym domu, który ją pod dach swój przyjmował, ona zawsze będzie owym «obcym żywiołem,» znoszonym z konieczności i do czasu, że gdy w grunt ten obojętny wreszcie przyzwyczajeniem wrośnie, ta sama konieczność wyrwie ją zeń i przesadzi gdzieindziej, a potém znowu gdzieindziéj, jak wieczną tułaczkę, niemogącą nigdy powiedzieć: jestem u siebie, wśród swoich!

Czemuż raczéj nie znalazła sobie najlichszego pokoiku pod strychem!

Za życia matki nie potrzebowała zabijać się pracą, bo emerytura po ojcu starczyła na pierwsze potrzeby; teraz, gdy ona przepadła, trzebaby było lekcyami wszystko opędzać; mniejsza z tém jednak! cały dzień nachodziwszy się za niemi, wieczorem byłaby panią swego kącika, powoli zżyłaby się z nim jak z przyjacielem, przyozdabiałaby go czém mogła, od czasu do czasu Maryanby tam przyszedł podumać....

Cóżby w tém było złego? Nic — a przecież świat inaczéj patrzéć na to musiał i dlatego matka już konającym głosem tak ją upominała, aby tego nie czyniła, — tak się lękała dla niéj złych języków, tak pragnęła, by corychléj trafiło się jéj miejsce w jakim zacnym i cnotliwym domu. Jakby ona, mieszkając sama, zacną i cnotliwą być nie mogła!

Takie myśli snuły się po głowie Bronisi, podczas gdy machinalnie słuchała pani Kory, obznajmiającéj ją z usposobieniem swoich dzieci. Elcia jest bardzo żywą, ale łagodnością wszystko z nią zrobić można, z upartą trochę Micią trzeba być więcéj stanowczą. Obie jednak mają złote serduszka i pojętne główki, i panna Bronisława nie będzie miała z niemi wiele kłopotu...

W przedpokoju ozwał się znowu dzwonek, tym razem znacznie głośniéj. Pani Kora poprawiła się na kozetce, na któréj siedziała już sama, bo pan August odszedł był do swojéj kancelaryi, i rzekła:

— Może pani przejdzie do swego pokoju i zapozna się lepiéj ze swemi uczenniczkami. Tędy, pani.

I wskazała jej drugie drzwi, w głąb' mieszkania wiodące.

Bronisia wstała, ale dziewczynki, onieśmielone jeszcze, ociągały się z pójściem za nią. Odwróciła się więc od progu i wyciągnęła ku niem obie ręce, uśmiechając się z właściwą sobie niewysłowioną słodyczą. Tymczasem pierwsze drzwi otwarły się i do buduaru wszedł mężczyzna już niemłody, o twarzy bardzo brzydkiéj, lecz charakterystycznéj, postawie atlety i ruchach salonowca. Jego szare bystre oczy utkwiły w Bronisi, która stała jakby upozowana przez najbieglejszego malarza portrecistę. Rubinowe światło lampy różowiło jéj bladą zwykle cerę, delikatne kształty jéj postaci w czerni uwydatniały się na tle wiśniowéj portyery, a w lekkiém podaniu się jéj naprzód, w dziwnie wdzięcznym ruchu tych rąk wyciągniętych, w łagodności tego uśmiechu i smutku tego poważnego czoła było coś niewymownie pełnego prostoty, poetyczności i melancholii.

Spotkawszy spojrzenie nowo-przybyłego, nie zmieszała się, pochyliła się tylko bardziéj naprzód i pociągnąwszy ku sobie zbliżające się trwożnie dzieci, znikła wraz z niemi za drzwiami, które cicho zamknęła.

Gość ściskał już okrągłe, cienko zakończone paluszki pani Kory.

— Zkąd przybywasz, profesorze? — zapytała go ona gdy usiadł.

— Obecnie z własnego mieszkania — odpowiedział pełnym, głębokim głosem, jednym z tych niebezpiecznych głosów, w którym się rozkochują wrażliwe kobiety. — Albowiem?

— Nie widzieliśmy pana blizko miesiąc.

— Tak, przez ten czas można przy dobrych chęciach przejechać wzdłuż i wszerz Europę. Ale nie, sprzykrzyło mi się koczownicze życie.

— Na jak długo?

— Nie wiem. Tylko asceci lub żyjące mumie mogą ręczyć za siebie w przyszłości.

— Doprawdy? Ja nie jestem ani jedną, ani drugą, a jednak zdaje mi się, że są rzeczy, o których z góry mogłabym powiedzieć czy je zrobię, czy nie.

I przy tych słowach pani Kora poprawiła sobie kędziorki nad czołem z pewną dziecinną dumą. On też spojrzał na nią pobłażliwie, jak na dziecko.

— Mylisz się pani! — rzekł krótko.

Umilkł i wzrok jego zwrócił się ku drzwiom, któremi wyszła Bronisia. Zdawało mu się, że widzi jeszcze na portyerze, czarną linię konturu rysującego profil jéj kibici.

— Kto była ta śliczna osoba? — zapytał nagle.

— Nowa nauczycielka moich dzieci. Pan ją nazywasz śliczną?

W głosie pani Kory przebijało się wielkie zdziwienie.

— Prześliczną! — odpowiedział z naciskiem — a co więcéj niepospolitą!

— Och! pan to tak odrazu poznałeś?

— Jestem natyle zarozumiałym. Nie dlatego, żem studyował psychologię w czterech zagranicznych uniwersytetach, ale żem żył i badał tych, co żyją. Mówiłem pani, zdaje mi się, że takie moralne wiwisekcye, dokonywane zwłaszcza na kobietach, były mojém ulubionèm zajęciém; opłacałem je nieraz drożéj, niżbyś pani przypuścić mogła, za to dziś jeden rzut oka odkrywa mi więcéj, niż innym długie lata znajomości.

— Alež to pan jesteś niebezpiecznym człowiekiem, profesorze! — zaśmiała się pani Kora.

On spojrzał na nią przenikliwie; na jego wydatnych mięsistych ustach pojawił się szyderski uśmiech.

— Pani dziś dopiero dowiadujesz się o tém? — rzekł.

Młoda kobieta zmieszała się trochę i spuściła oczy pod tym magnetyzującym wzrokiem, ale wnet podniosła głowę i cisnęła mu prawie gniewne spojrzenie, zdające się mówić: Jeszcze nie! Omyliłeś się tym razem.

Rozmowa znowu urwała się na chwilę.

Gość pani Kory, którego tak powszechnie tytułowano profesorem, iż niektórzy zapominali prawie, że się nazywał Rudolf Żaklinka, był człowiekiem wielkiego majątku, wielkiéj nauki i wielkiéj ekscen-

tryczności. Nierzadką u niego rzeczą było zamknąć się na cały miesiąc w laboratoryum chemicznem lub w zapylonéj bibliotece z zaciekłością i pedantyzmem niemieckiego uczonego, aby przez drugi miesiąc oddychać atmosferą buduarów, wystrzeliwać korki od szampana i bić brawo baletniczkom z werwą złotego młodzieńca. Podróżował wiele, a do Ameryki lub Azyi wyjeżdżał jak inni na drugą ulicę, idąc na kóléj prosto z balu lub teatru, po powrocie zaś witał spotykających go z wykrzyknikami znajomych, jakby ich wczoraj pożegnał. Motorem całego jego życia była fantazya, podstawą najgłębszy sceptycyzm połączony z wielką oschłością serca i wybujałością zmysłów. Człowiek ten nigdy nie marzył i nie kochał, ale ciągle myślał i ciągle używał. Przez parę lat wykładał filozofię na jednym z uniwersytetów belgijskich i ztamtąd przywiózł tytuł profesora. Miał w sobie coś, co mu jednało zapalonych zwolenników, zwłaszcza między młodzieżą, choć w stosunkach towarzyskich był zawsze szorstkim, a często zjadliwym aż do okrucieństwa; kobiety bały się go, a lgnęły doń i kokietowały go pomimo jego brzydoty. O miłosnych jego przygodach opowiadano takie niestworzone rzeczy, że już samo to nęciło niejednę rozmarzoną piękność, aby się stała ich bohaterką.

U pana Augusta, którego znał jeszcze przed ożenieniem, bywał dosyć rzadko i wogóle stosunki jego z tym domem nie przechodziły granic obojętnéj

grzeczności, zawsze jednak umiał czy to słowem, czy spojrzeniem rozdrażnić i zaniepokoić panią Korę. Czynił to tylko dlatego, że sobie kiedyś powiedział: «Ciekawym, czy ta ładna samiczka poza instynktownem przywiązaniem do gniazda i papuziém zamiłowaniem strojów, coś więcéj czuć potrafi?»

Teraz téż, gdy zabawiwszy z pół godziny, wyszedł, młoda kobieta siedziała długo w milczeniu, jakby zadumana, co jéj się rzadko zdarzało, poczém przeciągnęła dłonią po czole i rozejrzała się po pustym buduarze.

— Dziwny człowiek — szepnęła — tak niepodobny do drugich. Nie lubię go.

Przysłoniła usta ręką, tłumiąc ziewnięcie.

Przyszło jéj na myśl, co zrobi z długim jesiennym wieczorem, podczas gdy mąż będzie siedział w gabinecie nad aktami, a dzieci zasną pod okiem nauczycielki. Szkoda jednak, że profesor nie został na herbacie. Rozmowa z nim choć nie zawsze przyjemna, była zawsze oryginalną.

— Nudzi mi się — rzekła nawpół głośno, zaplatając ręce i wyciągając je przed siebie leniwym ruchem — nudzi mi się ogromnie!

III.

Maryan, rozstawszy się z Bronisią, wracał do siebie powoli ze zwieszoną głową. Mieszkał w od-

dalonéj części miasta, na trzeciém piętrze oficyny pięknego, nowego domu, przeznaczonéj wyłącznie na kawalerskie lokale. Mieściły się tam także kuchnie frontowych apartamentów. Ztąd schody były zawsze brudne i pozalewane, na przesłach stały balie i inne gospodarskie sprzęty, a w powietrzu unosiły się wyziewy potraw, mydlin i pary. Maryan wstępował zawsze na te schody z obrzydzeniem; wykwintna jego natura otrząsała się w nim, ilekroć zmęczenie zmuszało go oprzéć rękę na wilgotnéj, lepkiéj poręczy, i byłby się dawno wyprowadził, gdyby nie to, że pokój sam był bardzo ładny i tani.

Maryan urządził go sobie z kobiecą starannością i zmysłem estetyka. Łóżko stało w najmniéj widoczném miejscu, osłonięte pawilonem; przed biurkiem leżała skóra niedźwiedzia, przed kozetką dywan, na marmurowym stoliczku w pięknym wazonie rozkładał szerokie swe liście ciemny filodendron. Miłośnika starogreckiego piękna zdradzały dwie statuetki Wenery milońskiéj i kapitolińskiéj, bielące się w rogach; wielka fotografia, przedstawiająca narodziny Afrodyty, wisiała na ścianie między grupą Laokona i Nioby w medalionach. Wszędzie, gdzie spojrzéć, pełno było reprodukcyj rzeźb i obrazów treści mitologicznéj. Na biurku, wśród mnóstwa eleganckich, a nawet kosztownych drobnostek, wśród papierów i listów leżały, w częstém widać czytaniu będące, poezye Propercyusza i Katulla w oryginale, listy Horacego i elegie rzymskie Göthego.

Jasném było, iż zamknięty w tych czterech ścianach samotnik starał się wytworzyć sobie w nich sztuczną atmosferę, taką, w jakiéj najswobodniéj oddychała jego dusza, ta dusza poganina Greka, po któréj chrystyanizm prześliznął się tylko, pozostawiwszy jako jedyny ślad swój nieznaną greckiéj ziemskiéj pogodzie zaświatową tęsknotę, a którą wiek nasz piętnem nieuleczalnéj choroby naznaczył. I udawało mu się to czasem.

Pochylony nad ulubionymi klasykami, lub zapatrzony w klasyczne linie posągu, zapomniał o świecie, który go otaczał, tak różnym od tych dawnych pięknych czasów, jak się różnią szosy fraka od draperyi chlamidy; zapomniał, że jest dzieckiem téj cywilizacyi, która go ten frak nieraz przywdziewać zmuszała, a w któréj wszystko prawie drażniło go i męczyło, przejmowało politowaniem i wstrętem.

Ach, jemu było urodzić się w złotym wieku Peryklesów, żyć pod słońcem Hellady pełnią wszystkich sił żywotnych, wyczerpać te siły do dna, a potém pogrążyć się spokojnie, bez trwogi w jakąś nirwaniczną otchłań, nic nie żałując i niczego już nie pragnąc.

Wspomnienie Bronisi budziło go z tych marzeń, wiązało z teraźniejszością. Rzecz szczególna! w tém dziewczęciu energiczném i tkliwém tak mało było materyału na Aspazyę lub Gliceryę, dlaczegóż kochał ją tak bardzo? tak bardzo, że bez niéj sama

Grecya wydałaby mu się pustą! Jak prawdziwy panteista, kochał w niéj wszystko i kochał ją wszystkiém co w nim, jąk sam mówił, z nieba i piekła było. Miłość ta, niby najsubtelniejsza substancya, przenikała całą jego istotę, ale nie miała téj siły twórczéj, która sprawia, że pod jéj wpływem człowiek przeistacza się, nabiera nowych władz, nowego zapału. Natura Maryana była na to zanegatywna. Uczucie dla Bronisi było jedyném ogniwem, przykuwającém go istotnie do życia, jedyną rzeczą, którą on, lekceważący sobie wszystko, prawdziwie cenił — lecz więcéj niczém. Bez wahania byłby się zastrzelił, byle jéj szczęście zapewnić — ale nie czuł w sobie odwagi do poświęceń — nie! nawet do ustępstw, któreby się powtarzały codziennie.

Przyszedłszy do siebie, rzucił się na kozetkę, oparł łokcie na kolanach i z twarzą ukrytą w dłoniach pozostał tak długo. Ciężar sprzecznych myśli pochylał go ku ziemi. Pocałunek Bronisi palił mu usta i upajał go, a ostatnie spojrzenie, jakie mu od bramy rzuciła, prześladowało go jak wyrzut sumienia. Mówiło mu ono: Nikogo nie mam na świecie, poszłabym za tobą wszędzie, a ty mi dozwalasz odejść? Rozumiał, jaka straszna pustka zrobiła się teraz dokoła niéj, bo sam czuł się tak osamotnionym jak nigdy. Gdyby w téj chwili mógł ją miéć przy sobie, gdyby nadzwyczajny wypadek sprowadził ją tutaj! ach, nie potrzebowałaby się lękać niczego; posadziłby ją na fotelu, a sam ukląkłby przy niéj,

dłonią jéj zakryłby sobie oczy i takby mu było dobrze!

Stukanie do drzwi dało się słyszéć! Maryan drgnął mimowoli — nieprawdopodobne przypuszczenie mignęło mu przez głowę. Wzruszył ramionami i poszedł otworzyć, ale serce biło mu gwałtownie. Widok wchodzącego uspokoił je natychmiast. Był nim młody człowiek, którego powierzchowność mówiła wyraźnie: Jestem zawsze zdrów i wesół.

Szczęśliwiec ten wstrząsnął kilkakrotnie dłoń Maryana, witając go donośnym i świeżym jak jego policzki głosem, poczém rozsiadł się w tym samym fotelu, w którym przed chwilą wyobraźnia biednego marzyciela widziała Bronisię.

— Zgadnij, Maryanie, co ci powiem — rzekł nowoprzybyły, zakładając nogę na nogę.

Twarz Maryana przez tę krótką chwilę uległa zupełnéj przemianie. Rysy jego, ściągnięte nurtującemi go wrażeniami, wygładziły się i przybrały wyraz martwego niemal spokoju. Ten nerwowy idealista, którego słabe ciało nie mogło czasem sprostać wulkanicznym porywom duszy, który pojmował życie tylko w jaskrawém oświetleniu wrażeń — dzięki swéj krańcowéj skrytości uchodził między najbliższymi znajomymi za apatycznego trochę flegmatyka.

— Co mi powieszż — powtórzył z niezbyt

wielkiém zaciekawieniem. — Zapewne coś wesołego. Wszak ty tylko z temi rzeczami masz do czynienia.

— Mój drogi! i tybyś miał, gdybyś chciał. To zależy od sposobu zapatrywania się na świat. Ale wracając do rzeczy: zaręczyłem się!

— Och! — rzekł Maryan — to krok bardzo stanowczy.

Niedostrzegalny prawie odcień ironii podkreślił te słowa, to też zaręczony młodzieniec nie zwrócił nań uwagi.

— Naturalnie — odpowiedział — ale nie powinno cię to dziwić. Wiesz przecie, że jestem zakochany od półtora roku.

— Tak — mówiłeś mi o tém niejednokrotnie — zauważył Maryan tym samym tonem.

Miał on szczęście do zwierzeń, i słuchając ich, dziwił się zawsze ludziom, którzy bez koniecznéj potrzeby wywnętrzają się swoim bliźnim. Co do niego, byłby wolał skazać się na wieczne milczenie, niż jedném słowem wspomnieć komu o téj bladéj, smutnéj dziewczynie, która była dla niego wszystkiém.

— Otóż — ciągnął daléj młodzieniec — ten stan niepewności, bo, jak ci wspomniałem, nie mogłem zmiarkować, czy Stefcia kocha mnie, czy nie, był mi nieznośnym. Traciłem sen, apetyt i tam daléj, jedném słowem stawałem się do niczego. A tu egzamina ostateczne za pasem. Nie, rzekłem sobie, tak dłużej być nie może; gotów jestem jeszcze nie zdać, a Stefcię mi tymczasem zabiorą.

Więc raz, dwa, trzy, oświadczyłem się onegdaj, a wczoraj zaręczyliśmy się formalnie. Ja jéj dałem bardzo ładny rubin, a ona mi ten szmaragdzik. Patrz! wcale gustowny pierścionek.

I z rodzajem tryumfu pokazał Maryanowi połyskujący na piątym palcu kamień.

Maryan uśmiechnął się. Lubił on bardzo tego wesołego, serdecznego Karolka, z którym go wspomnienia dziecinnych lat wiązały, ale ta jego miłość, opowiadająca o swych symptomatach, jak o przypadłościach gastrycznéj gorączki, i zastanawiająca się nad gustownością pierścionka, wydała mu się w téj chwili taką tuzinkową, śmieszną prawie.

— Jednakże — ozwał się po pewnéj przerwie — twoja narzeczona, o ile mi się zdaje, nie ma żadnego posagu?

— Ani fenia! — odparł Karol, krzyżując dumnie ręce na piersiach. — Żenię się bezinteresownie, z czystéj miłości. Nie uwierzysz, jak jestem zakochany!

I zapaliwszy papierosa, wypuścił energiczny kłąb dymu, jakby na potwierdzenie tych słów.

— I ty także nic nie masz?

— I ja nic!

I Karol zaciągnął się z większą jeszcze fantazyą.

— Jakże więc możecie myśléć o pobraniu się?

Maryan postawił to pytanie już nie ironicznie, ale z największą powagą. Jego własne położenie

stanęło mu na myśli. Było ono mniéj więcéj takie same.

— To sobie dobre — zaśmiał się jego towarzysz. — Czy to tylko bogaci mogą się żenić? Świat-by się prędko skończył w takim razie. Jesteśmy młodzi, mamy przyszłość przed sobą: ja w tym roku kończę prawo, mam już obiecaną posadę... nic świetnego... ale na początek trudno żądać prezesostwa. Stefcia się wyuczyła robić kwiaty: róże, lewkonie, awantury, jakby prosto z krzaka... założy sobie warsztacik na swoję rękę.

I bez wielkiego entuzyazmu, ale z serdecznem przejęciem zaczął kreślić przyjacielowi obraz swego przyszłego szczęścia — obraz prosty, w ciasne ramy codziennych wydarzeń ujęty.

Maryan słuchał i czoło jego pokrywało się zadumą.

— Zazdroszczę ci! — rzekł krótko.

I zazdrościł mu — nie gospodarnéj, przywiązanéj żony, nie nadziei podwyższenia pensyi i względów zwierzchnika, ale tego usposobienia, które mu w tém szczęście znajdować pozwalało.

— Nie potrzebujesz mi zazdrościć — rzekł Karol. — Nie wszystkie kobiety są interesowne. Znajdzie się ładna i zacna dziewczyna, która także z tobą zgodzi się pracować. Ale, ale! słyszałem, żeś stracił posadę?

— Sam jéj się zrzekłem — odparł Maryan.

— Zmiłuj się! i dlaczego? Teraz tak trudno o stałe zajęcie. A podobno i pracy wiele nie miałeś?

Maryan wstał i zaczął się przechadzać po pokoju.

— To prawda — rzekł. — Połowę czasu trawiłem bezczynnie w biurze. Ale siedzieć trzeba było koniecznie, codzień, od dziewiątéj do drugiéj. Ta systematyczność zabijała mnie.

— Ależ, cóż teraz poczniesz? — zapytał Karol, patrząc na niego tym wzrokiem, jakim zwykle na coś osobliwszego spoglądamy.

Maryan się uśmiechnął.

— Mój drogi — rzekł — jestem niepraktycznym, lecz znowu nie do takiego stopnia, jak ci się zdaje. Jeżeli porzuciłem dawne zajęcie, to dlatego, że nadarzyło mi się inne, bardziéj odpowiadające moim wymaganiom. Hrabia *** polecił mi skatalogować świeżo kupioną bibliotekę i uporządkować stare i cenne rękopisy, jakie się w niéj znajdują. Wiesz, że się znam trochę na tych rzeczach. Będzie to robota na kilka miesięcy, warunki są dosyć korzystne, pod tym zwłaszcza względem, że mogę pracować w nocy, w dzień, kiedy i ile mi się podoba, byłebym na oznaczony termin skończył. Będę więc panem swego czasu, to najważniejsza.

— Bardzo to pięknie — zauważył Karol, zapalając drugiego papierosa — lecz potém co?

— Poszukam sobie innego hrabiego i innéj biblioteki — odparł Maryan lekko, i poważniéj dodał: — Praca zawsze się znajdzie.

Karol pokręcił głową.

— Wiesz co, Maryan — ozwał się po chwili — w taki sposób ty niedaleko zajedziesz.

Uśmiech goryczy przesunął się po ustach świeżo kreowanego bibliotekarza.

— Czy sądzisz, żeś mi nowinę powiedział? — zagadnął ironicznie. — Nie, mój drogi, oddawna już zrzekłem się nadziei zrobienia tego, co się nazywa karyerą. Nie mam potemu ani zdrowia, ani specyalności, ani sprytu. Sam sobie zawsze dam radę, dopóki sił starczy, a gdy ich zbraknie, ciężarem drugim nie będę, możesz być pewny. Człowiek przecież nie jest zwierzęciem, które musi na barłogu biernie oczekiwać końca. Rozprawić się z życiem w porę, w naszéj jest mocy.

— Maryanie! co ty mówisz! — zawołał Karol z nieudaném przerażeniem.

Powstał i zbliżywszy się do przyjaciela, który stał przy oknie chmurnie zapatrzony w ciemne jego szyby, położył mu rękę na ramieniu. Maryan drgnął i przygryzł usta, jakby karząc je za niepotrzebne słowa.

— Masz słuszność — rzekł — jestem dziś trochę rozdrażniony. Powiedziałem coś niedorzecznego. Zapomnij o tem.

— Z całego serca — odrzekł Karol — ale ty nie zapominaj o swojéj przyszłości. Każdy człowiek powinien myśléć o utworzeniu rodziny. Jest-to obowiązek obywatelski — ciągnął daléj patryarchalnym tonem, przyglądając się prawie uroczyście swemu pierścionkowi. — A gdy się ożenisz, jakiż los zgotujesz twojéj żonie?

Maryan zmarszczył się — Karol niechcący dotknął najboleśniejszéj struny w jego sercu.

— Nie mówmy o tém — rzekł odwracając się.

W godzinę późniéj był znowu sam — wśród głębokiéj, wieczornéj ciszy. Siedział przy biurku i przeglądał stare, pożółkłe szpargały, robiąc od czasu do czasu notatki na czystéj ćwiartce. Zielona umbrelka lampy, rzucając jasny krąg światła na biurko, pozostawiała w cieniu resztę pokoju. Białe kształty obu Wener wynurzały się niepewno, jakby tajemnicze widma ukochanéj przeszłości. Na dworze woda kapiąca z dachu wyśpiewywała po rynnach swą jednostajną, metaliczną piosenkę — wtórowało jéj lekkie szemranie knota w lampie — zresztą nic. Chwilami, gdy wiatr silniejszy powiał za oknem, spuszczone firanki chwiały się i wyglądało to tak, jakby niewidzialna ręka poruszała je z zewnątrz.

Było już około pierwszéj, gdy Maryan wyprostował się i z przytłumioném syknięciem chwycił się za głowę. Każde moralne wstrząśnienie lub dłuższa praca sprowadzała mu silny newralgiczny ból, na

który nie było uśmierzającego środka. Zwykle wtedy przez całą noc oka zmrużyć nie mógł. A dziś właśnie tak się czuł wyczerpanym, tak potrzebował zasnąć i zapomnieć o wszystkiém.

— Nie mogę — szepnął — nie mogę dłużej pracować.

Odsunął papiery i ruchem najwyzszego zniechęcenia rzucił się w głąb' fotelu.

— O! życie moje! życie! — wykrzyknął gwałtownie — jakże ja ciebie nienawidzę!

IV.

Dwa miesiące minęło od przybycia Bronisi w dom państwa Augustów. Było jéj tam dobrze — o ile dobrze być może kwiatowi, stworzonemu do zwrotnikowego słońca, w atmosferze średniéj, która mu nie pozwala ani zmarnieć zupełnie, ani się całkowicie rozwinąć. Dziełem wyrafinowanego okrucieństwa losu są egzystencye zmuszające człowieka powtarzać co chwila «milcz» temu, co się w duszy gwałtem budzi, i «obudź się» temu, coby spać chciało.

Taka walka usposobienia z koniecznością dostała się w udziale Bronisi. Znosiła ją cicho i mężnie. Niktby się nie był domyślił, patrząc na jéj zawsze

poważną lecz spokojną twarz, ile siły woli zużywała ta wątła istota, aby stłumić w sobie wybuch ogarniającego ją nieraz rozdrażnienia. Ten zawód nauczycielski był jéj tak niemiłym! byłaby wolała stokroć jakąś cięższą, fizyczną pracę, byle połączoną z ruchem i swobodą, do jakich tęskniła jéj gorąca dusza. Przywiązała się do swoich uczennic, a jednak te dzieci dobre, choć rozpieszczone, zadawały jéj nieraz nieświadomie dotkliwe tortury, narzucając jéj się ze swemi pytaniami i pieszczotami w chwilach, gdy, jak spragniony na pustyni wędrowiec, łaknęła samotności i ciszy. Zbyt była rozsądną, żeby na to utyskiwać, — wszak te dzieci były w swojém prawie — wszak jéj za to płacono; lecz ta właśnie legalność jéj udręczeń miała w sobie coś raniącego.

Pani Kora obchodziła się z Bronisią z właściwą jéj ociężałą, bierną dobrocią; pan August był obojętnie grzecznym; goście, z którymi czasem zetknąć jéj się przyszło, nie zwracali na nią uwagi. Jéj położenie ubogiéj, smutnéj sieroty, wśród tego świata bogatych i szczęśliwych, czyniło ją bardziéj odosobnioną, niż gdyby żyła na bezludnéj wyspie.

Był przecież człowiek, którego nauczycielka dzieci pani Kory zdawała się obchodzić: profesor Rudolf Zaklinka.

Od niejakiego czasu, to jest odkąd przyszła mu ochota powierzyć jakiś zawikłany i zapomniany proces w ręce pana Augusta, odwiedzał jego dom coraz częściéj; przychodził nad wieczorem do kan-

celaryi jako klient, a zostawał na herbacie jako gość i wtedy to Bronisia, siedząca przy stole pomiędzy swemi uczennicami, spotykała czasem jego przenikliwe, szare oczy, patrzące w nią ze szczególnym wyrazem.

Trzeba przyznać profesorowi, iż do swoich obserwacyj wybierał zawsze takie chwile, kiedy nikt, prócz ich przedmiotu chyba, nie mógł go złapać na gorącym uczynku.

Zdarzało się także, iż Bronisia, przechodząc przez buduar, zastawała go, jak czekał na kończącą swą toaletę panią Korę, wówczas wstawał, kłaniał jéj się głęboko i przeprowadzał ją tym samym dziwnym wzrokiem aż do drzwi. Nigdy wszakże nie odezwał się do niéj. Oczy jego mówiły czasem wyraźnie: «Nie jesteś taką, jaką się być wydajesz. Jakąż więc jesteś?» ale usta nie zdawały się skore do pytań.

Dzięki temu postępowaniu, profesor nieznacznie wysunął się na pierwszy plan w umyśle Bronisi z pomiędzy otaczających ją osób. Tamci wszyscy byli jéj, jak ona im, obojętni: on ciekawością swoją budził w niéj także ciekawość, a zarazem pewną obawę. Wzrok jego robił na niéj takie wrażenie, jakby się w nim coś niedobrego kryło.

Całą przyjemnością Bronisi w tém nowém jéj życiu były każdoniedzielne odwiedziny u panny Waleryi, dawnéj przyjaciółki jéj matki. Przychodziła tam o czwartéj, a tuż potém zjawiał się Maryan.

Zasiadali przy stoliku po obu stronach przygłuchéj trochę staruszki; ona częstowała ich kawą i rogalkami, a oni wzamian za to bawili ją rozmową, ową rozmową, o któréj z taką goryczą wyraził się był Maryan w posępnym dniu rozstania się z Bronisią. Nie przewidział tylko tego, że panna Walerya oddawała się z zapałem polityce i że będzie musiał odczytywać wraz z nią hieroglify spółczesnéj dziejowéj karty. Przytém ta miłośniczka politycznych rozpraw była krańcową pesymistką. Nikt zapewne nie widział przyszłości świata, a w szczególe Europy, w bardziéj czarnych niż ona kolorach. Słuchając jéj przepowiedni, najweseléj usposobiony człowiek mógł był popaść w melancholię. Prorocze wybuchy panny Waleryi miały przecież tę dobrą stronę, że się często, znużona niemi, zdrzemnęła — wtedy Bronisia i Maryan patrzyli na siebie przez stół długo i smutnie, ale milczeli, aby jéj nie obudzić. O szóstéj młoda nauczycielka całowała w ramię starą pannę i wracała do swoich chlebodawców. Maryan ją odprowadzał. Jesień tego roku była wyjątkowo przykra. Świszczący wiatr pędzał śnieżyste zamiecie po ulicach, a o zmroku ruch na oślizgłych trotuarach prawie ustawał. Tylko zmuszeni potrzebą przechodnie przesuwali się zziębnięci i śpieszący koło tych dwojga, którzy szli tak wolno, jak gdyby majowe słońce przyświecało ich krokom. Maryanowi marzła ręka, w któréj trzymał parasol nad Bronisią, — jéj sztywniały paluszki spoczywające

na jego ramieniu; turkot powozów przeszkadzał im rozmawiać, a jednak... starali się przedłużać te chwile, bo po nich następowała rozłąka na cały, długi tydzień.

Raz w połowie grudnia, gdy tak szli, walcząc z zawieruchą, wyminął ich z tyłu idący mężczyzna, a wymijając zdjął kapelusz i ukłonił się głęboko Bronisi, rzuciwszy badawcze spojrzenie na jéj towarzysza. Był-to Rudolf Zaklinka, śpieszący widocznie w stronę mieszkania państwa Augustów.

Bronisia, któréj to spotkanie miłém nie było, zmieszała się niewymownie, gdy wszedłszy w bramę, zobaczyła profesora, jak stał, strząsając z wielką flegmą zaśnieżony parasol. Że czekał umyślnie, to nie ulegało żadnéj wątpliwości, bo wyprzedził ich był znacznie.

Jakoż taić się z tém wcale nie myślał. Ukłonił się powtórnie i przystąpił do niéj bez wahania.

— Czy to brat, czy narzeczony pani? — zapytał najnaturalniejszym tonem, jak gdyby to nie były pierwsze słowa, z jakiemi się w życiu do niéj zwracał.

Rumieniec gniewu oblał twarz Bronisi. Śmiałość profesora zraniła jéj dumę.

— Znajomość moja z panem — odparła drżącym głosem — nie obowiązuje mnie do odpowiedzi na pytanie, które wydaje mi się co najmniéj... dziwném.

— Być może. Pytam, bo słyszałem, jak nazwałaś pani tego młodego człowieka po imieniu; przyznasz więc pani, że mogło mi przyjść na myśl, że jest on albo jednym, albo drugim.

Bronisia nic nie odpowiedziała.

Zwróciła się ku schodom. Profesor niezrażony postąpił za nią.

— Nie powinnaś się pani gniewać — ciągnął daléj. — Mam ustaloną reputacyę ekscentryka i przyzwyczajony jestem, że mi wiele z tego tytułu przebaczają. Chęć obrażenia pani daleką była ode mnie; przeciwnie, ucieszyłem się z tego odkrycia, pozwalającego mi przypuszczać, że jest ktoś, co ma prawo opiekować się panią. Sądziłem, że pani jesteś zupełnie samą na świecie.

Głos profesora posiadał, jak już powiedziałam, niebezpieczny dla kobiecego ucha urok. Przy ostatnich słowach zabrzmiał tak łagodnie i serdecznie, że Bronisia, zapominając chwilowo o urazie, z wdzięcznością prawie spojrzała na niego. Tak mało kto cieszył się lub smucił z jéj powodu!

Bystre oko profesora dostrzegło ten zwrot przychylniejszy. Uśmiechnął się i rzekł:

— Widzę, żeś mi pani przebaczyła. Rozmowa nasza pod dobrą zawiązała się wróżbą. Zaczynający od kłótni kończą zwykle na zgodzie.

— Zdaje mi się — rzekła chłodno Bronisia — że sposobność sprawdzenia téj wróżby nieprędko się zdarzy. Trzebaby szczególnego trafu, żebyś pan

spotkał mnie znowu na schodach, które, jak mam powody sądzić, uważasz pan za jedyne właściwe miejsce do prowadzenia rozmowy... ze mną.

Mówiąc to, wyciągnęła rękę do dzwonka, bo stali już przed drzwiami, na których mosiężna blacha wieściła każdemu, kto chciał czytać, że adwokat August X. przyjmuje klientów od 10-éj do 11-éj zrana i od 5-éj do 7-éj po południu.

Profesor ją uprzedził kładąc dłoń na kościanym guziku dzwonka.

— Zkąd w pani tyle goryczy? — rzekł. — Nie zasłużyłem ani na ten zarzut, ani na gniew, i nie *pozwolę* pani wejść, dopóki mi nie powiesz, żeś mi przebaczyła.

— Nie *pozwolisz* pan?

— Tak, pani — odparł spokojnie, kłaniając jéj się z uszanowaniem.

— W takim razie — rzekła Bronisia, widząc, że jéj dziwaczny towarzysz gotów jest dotrzymać słowa — i ja panu z kolei zadam pytanie.

— A ja odpowiem, czegoś pani nie uczyniła.

Zawahała się chwilę.

— Czy byłbyś pan — rzekła wreszcie z trudnością — czy byłbyś pan zagadnął mnie w ten sposób, gdybym była... córką tego domu, a nie biedną nauczycielką?

Profesor spoglądał na nią w milczeniu. Stała przed nim z odrzuconym z twarzy żałobnym welonem; jéj rozumne, łagodne oczy patrzyły śmiało

i dumnie, wzruszenie żywszą barwą powlokło jéj usta i policzki, i gdyby pani Kora widziała ją w téj chwili, nie dziwałaby się już, że profesor mógł ją nazwać prześliczną.

— Powiedziałem już pani, że jestem ekscentrykiem — rzekł zwolna ten ostatni.

— Względem *wszystkich?* — ponowiła z przyciskiem.

— Względem wszystkich — a widząc jeszcze ślad powątpiewania w jéj wzroku, dodał, przykładając rękę do piersi — daję pani na to słowo honoru.

— A więc — nie mam już żalu do pana.

Podała mu rękę, któréj zlekka dotknął, i w chwilę potém drzwi od przedpokoju zamknęły się za nią. Lokaj, otwierający Bronisi, nie widział profesora, ten bowiem cofnął się ku schodom i zszedł na ulicę, nucąc z cicha, co miał we zwyczaju, gdy był bardzo zamyślony.

Tego wieczora nie pokazał się już u państwa Augustów.

V.

— Jeszcze tylko jedno pasemko, panno Bronisławo, jeżeli to panią nie męczy.

Pani Kora siedziała w buduarze na otomance, a Bronisia naprzeciw niéj na nizkim stołeczku. Pierwsza zwijała włóczkę, druga trzymała ją na rozstawionych rękach. Nie było to arcymiłe zajęcie i nie wchodziło w zakres jéj nauczycielskich obowiązków, to też pani Kora, płacąc grzecznością za grzeczność, uważała za konieczne prowadzić z nią rozmowę, podczas gdy ponsowy kłębuszek rósł coraz bardziéj w jéj białych, zgrabnych paluszkach.

Rozmowa pomiędzy dwiema kobietami, jeżeli nie jest poufałą, bywa bardzo nudną i rwie się co chwila, jak zbutwiała nitka — wskutek tego po każdém pytaniu pani Kory i każdéj odpowiedzi Bronisi następowało milczenie, które chód srebrnego zegara uroczyście wypełniał. Zegar ten wskazywał pierwszą — godzinę rekreacyi między lekcyami. Okna buduaru wychodziły na południe, a słońce, wyjątkowo w tym dniu z więzienia chmur uwolnione, potokami światła wlewało się do pokoju i złociło figlarne kędziorki pani Kory, która ze swą różowawą cerą, w turkusowego koloru szlafroczku z wywiniętym *à l'enfant* koronkowym kołnierzem, wyglądała prawie młodziéj, niż usunięta nieco w cień blada dziewczyna w czerni.

— Więc pani nie masz nikogo z rodziny? — pytała w dalszym ciągu pani Kora tym głosem sztucznego zainteresowania, będącym tak przejrzystą osłonką zupełnéj obojętności.

— Nikogo, pani.

— Jakże to smutne! Sama mając dzieci, wyobrażam sobie, ile musiała cierpiéć matka pani, zostawiając córkę w takiém położeniu.

Popatrzyła na nią, a potém, jakby na skutek tego przeglądu:

— Czy téż pani nie nadarzyła się nigdy sposobność wyjścia za mąż? — zagadnęła. — To byłoby dla pani prawdziwe szczęście.

Bronisia zlekka przygryzła usta.

— Sama sposobność jeszcze nie wystarcza — odparła spokojnie. — I ubogie panny mogą szukać w małżeństwie czegoś więcéj, niż zapewnienia sobie bytu.

— O! tak, nie przeczę — rzekła niedbale pani Kora. — Tylko w takim razie...

Urwała — i patrząca na nią Bronisia spostrzegła z pewném zadziwieniem, że błękitne jéj oczy zabłysły, a ręka migająca kłębuszkiem drgnęła nieznacznie.

Obrócona plecami do drzwi, które były otwarte, nie widziała, jak wiśniowa portyera uchyliła się, i nizki, pełny głos zapytał: «Czy można wejść?» podczas gdy właściciel jego, snać pewny, że odmownéj odpowiedzi nie usłyszy, stał już na progu.

Jednym rzutem oka ogarnął grupę obu kobiet, czoło mu się trochę zmarszczyło, a na ustach osiadł szyderski uśmiech.

— Widzisz, profesorze, jaka ze mnie pracowita osoba — zawołała po przywitaniu pani Kora, wskazując na stosy otaczających ją włóczek — a panna Bronisława jest tak dobra, że mi pomaga.

— Widzę i podziwiam — rzekł profesor, i usiadłszy, dodał: — Przyszedłem zdać pani sprawę z wczorajszego zlecenia co do jutrzejszéj opery.

— Och! dziękuję panu! Mój mąż jest zawsze tak zajęty!

Pani Kora była jakby zmieszana. Trzymała w ręku kłębuszek, nie wiedząc dobrze, co ma z nim daléj czynić. Bronisia zaś, opuściwszy dawniejsze swoje miejsce, usiadła na krześle, i nie zdejmując włóczki z rąk, czekała.

— Proszę! nie przerywajcie sobie panie! — zawołał profesor z galanteryą — byłbym niepocieszonym, gdyby obecność moja w czémkolwiek krępować je miała.

Ilekroć w mowie swojéj, tak często oryginalnéj i dziwacznéj, posługiwał się jakim oklepanym, salonowym zwrotem, akcentował go zwykle ironicznym głosem, jak gdyby chciał powiedzieć: Nieprawdaż, jakie to bezmyślne i niedorzeczne? A jednak wam się to podoba... kobiety!

Pani Kora więc zwijała daléj, rozmawiając i śmiejąc się, ale miało to być widocznie zwijanie z prze-

szkodami, bo nie upłynęło kilka minut, gdy weszła panna służąca i szepnęła parę słów swej pani. Ta ostatnia wstała śpiesznie, przeprosiła gościa i wyszła, wlokąc za sobą ukoronkowany tren bogatego swego negliżu.

— Kiedym tu wszedł, zrobiłaś pani na mnie wrażenie białéj niewolnicy — rzekł profesor do Bronisi, która podniosła się także i składała włóczkę.

Od spotkania na schodach upłynęło parę tygodni — przez ten czas parę razy już rozmawiali ze sobą: on zawsze z jakąś ukrytą myślą — ona zawsze poważnie i chłodno.

I teraz także wzruszyła obojętnie ramionami.

— Dlaczegóż pan koniecznie przedstawiasz mi położenie moje gorszém niżli jest w istocie — odparła. — Dobrowolna przysługa nie ma nic wspólnego z niewolnictwem.

— I opiera się na prawie wzajemności? czy tak? To najzupełniejsza prawda. Chciałbym jednakże doczekać tych saturnalij, kiedy pani będziesz zwijała włóczkę rozpiętą na ślicznych rączkach zachwycającej pani Kory — zauważył profesor sarkastycznie.

— Saturnalie na nicby się tu nie przydały, ponieważ ani na kanwie, ani szydełkiem nie robię — odpowiedziała Bronisia z uśmiechem.

Milczeli chwilę.

— Jesteś mi pani jeszcze dłużną — odezwał się profesor, obracając w palcach kłębuszek pani Kory. —

Pamiętasz pani moje pierwsze pytanie w bramie, które taki gniew na mnie ściągnęło. Ponawiając je teraz, sądzę, że się wydam mniéj niedyskretnym. Na któreż z moich dwóch przypuszczeń otrzymam twierdzącą odpowiedź?

— Na żadne.

— Jakto? Więc ten młody człowiek...

— Nie jest moim bratem, ani narzeczonym — dokończyła Bronisia rumieniąc się, lecz nie spuszczając oczu pod przenikliwém spojrzeniem profesora. — Czy ciekawość pana zaspokojoną została?

— Niezupełnie, lecz usuwając ją na bok, powiem pani rzecz jedne: Że nie jest bratem, to szkoda; ale że nie jest narzeczonym, to bardzo dobrze i tego pani winszuję.

— Winszujesz mi pan? Dlaczego?

— Bo nie jesteś pani blizką zamążpójścia.

Bronisia uśmiechnęła się z mimowolnym smutkiem.

— Niedaléj jak przed półgodziną powiedziano mi tu w tym samym pokoju, że byłoby to dla mnie wielkiém szczęściem.

Profesor zrobił lekceważący ruch ręką.

— To zdanie pani Kory? — rzekł. — Takie szczęśliwe istoty, jak ona, przez całe życie dziećmi pozostaną. Ale ja jestem człowiekiem, dla którego świat nie ma tajemnic i któremu nic ludzkiego obcém nie jest, i powiadam pani, że małżeństwo jest dla kobiety arcyniebezpieczną rzeczą.

— Nie rozumiem pana.

— Wierzę, ale zrozumiesz mnie pani zaraz. Przedewszystkiém wiedz pani, że moralność, to zdrowe dziecko prostych obyczajów, zastąpiła już dawno miejsca chorobliwemu płodowi nowszych czasów, nazywającemu się towarzyską przyzwoitością. My, wychowańcy naszéj zgangrenowanéj cywilizacyi, przestaliśmy się już lękać wyrzutów sumienia, boimy się tylko skandalu. Nie zadajemy sobie fatygi walczyć z naszemi złemi skłonnościami lecz szukamy dla nich parawana. Takim parawanem dla kobiety jest małżeństwo!

Głos profesora stał się ostrym i gryzącym jak jego słowa. Spojrzał na Bronisię, która słuchała w milczeniu, i ciągnął daléj:

— Z drugiéj strony małżeństwo naraża kobietę na niebezpieczeństwa, z któremi wolna nie spotka się nigdy. Krzywoprzysięztwo i wiarołomstwo są to brudne rzeczy, nieprawdaż? a jednak codzień przed ołtarzami staje tysiące istot, otoczonych ową poetyczną aureolą oblubienicy, które ślubują miłość z sercem obojętném jak kamień, i wierność, aby o niéj wcześniéj czy późniéj zapomnieć. I w tym ostatnim wypadku ja te kobiety uważam po części za usprawiedliwione. Zobowiązywać się przysięgą na całą przyszłość, to znaczy kusić samego siebie. Niedotrzymanie jéj jest prostą, nieuniknioną prawie konsekwencyą natury ludzkiéj, zwłaszcza kobiety! Pani patrzysz na mnie ze zgrozą?

— Więc według pana — odezwała się Bronisia, nie odpowiadając na pytanie — kobiety w za mąż wychodzić nie powinny?

— Tego nie mówię. Nie jestem burzycielem porządku społecznego. Uważam tylko, że pani osobiście szkoda dla téj instytucyi, w któréj stajemy się albo stroną oszukaną, albo oszukającą, jeśli nie obojgiem razem. Wierzaj mi pani, kobieta póty jest cnotliwą, dopóki nie r sposobności zejścia na manowce.

— Mówisz pan tak, ja gdybyś nigdy nie miał matki — zawołała Bronisi — ale ja ją miałam i słowa pana bolą mnie jak zniewaga wyrządzona pamięci téj świętéj kobiety. Co za przyjemność masz pan w tém, żeby mi swoim pesymizmem zatruwać duszę?

On uśmiechnął się szydersko.

— Zatruwać? — powtórzył — przeciwnie, pesymizm jest respiratorem, broniącym nas od wdychania w siebie miazmatów takich mrzonek, jakiemi są teorye o niewzruszoności cnoty, bezwzględności prawdy, uświęcającéj sile obowiązków i tym podobne. Życie człowieka, który w to wszystko wierzy, jest szeregiem samych rozczarowań.

— Co mówisz o rozczarowaniach, profesorze? — zadźwięczał srebrny głosik pani Kory, która weszła w téj chwili i zatrzymała się, zdziwiona, że zastaje gościa swego w tak ożywionéj rozmowie z nauczycielką.

— Mówię, że nie doznałem ich nigdy — odparł zagadnięty, powstając — i przepowiadam, że pani (tu skinął głową w stronę Bronisi) dozna ich bardzo wiele.

— Panna Bronisława? — rzekła pani Kora, podnosząc swe śliczne brewki z niedającym się opisać wyrazem; a zwracając się do ostatniéj, dodała suchszym niż zazwyczaj głosem: — Dzieci już czekają na panią z lekcyami.

VI.

Pomimo rozdrażnienia, jakiém go te, w swoim rodzaju jedyne schadzki u panny Waleryi napełniały, Maryan stawiał się na każdą z największą punktualnością. Jednéj wszakże niedzieli ku końcowi stycznia nie przyszedł o zwykłéj porze. Bronisia pomogła pannie Waleryi przyrządzić kawę i opisała jéj wszystkie balowe toalety, jakiemi pani Kora spłacała należny dług karnawałowi, a jego jeszcze nie było. Po upływie półgodziny panna Walerya oświadczyła, że dłużéj z podwieczorkiem czekać nie można; usiadła więc przy nakrytym stole i postawiła przed zaniepokojoną Bronisią filiżankę wystygłéj kawy.

— Może zachorował! — rzekła z właściwą sobie skłonnością do czarnych przypuszczeń. — Zeszłéj niedzieli uważałam, że bardzo mizernie wyglądał — a po chwili, biorąc tradycyonalny rogalik, dodała: — musi być chorowity? prawda?

— Jest wistocie słabego zdrowia.

Panna Walerya pokręciła głową.

— To źle, wiesz, że to źle! Mąż chorowity, moja droga, to wielka klęska. Nie mówię ci tego, żeby cię do pana Maryana zniechęcać, ale ponieważ ci dobrze życzę, wołałabym cię widzieć żoną kogo innego. Bo, przypuśćmy, że będzie ciągle chorował lub, czego Boże broń, zostawi cię wdową...

I tu panna Walerya, znalazłszy się w swoim żywiole, zaczęła przedstawiać Bronisi całą rozpaczliwość położenia młodéj osierociałéj małżonki, jeżeli w dodatku Bóg pobłogosławił ją dziećmi.

Bronisia słuchała w milczeniu, myśląc, że to jednak bardzo dziwne, iż Maryan nie przyszedł — nieokreślone przeczucie czegoś złego ściskało jéj serce.

Panna Walerya zakończyła swe rembrandtowskie szkice wdowiéj doli uwagą, że człowiek powinien być zawsze na najgorsze przygotowanym, boć ostatecznie życie jest niczém innéni, tylko jedném wielkiém utrapieniem, poczém rzekła:

— Powiedzże mi, moja Bronisiu, kiedyż wy się pobierzecie? Przecież żałoba wstrzymywać was nie powinna. Ślub cichy . . .

Bronisia zaczerwieniła się mocno. Nigdy dotąd nie rozmawiały w tym przedmiocie, nie widziała więc potrzeby spowiadać się pannie Waleryi ze stosunku, jaki ją łączył z Maryanem. Wszak takim, jakim był, zawiązał się z wiedzą i pod okiem jéj matki, nic przeto zdrożnego w nim być nie mogło — ale anormalność jego wywołałaby niewątpliwie ze strony ciekawéj staruszki pytania, na które odpowiadać byłoby dla Bronisi rzeczą bolesną. Teraz jednak, jeśli nie chciała kłamać, wyjaśnienie było nieuniknioném.

— My nie pobierzemy się nigdy — odparła drżącym głosem.

— Co? — rzekła panna Walerya, sądząc, że nie dosłyszała.

— Nie pobierzemy się nigdy — powtórzyła głośniéj Bronisia.

Stara panna wyprostowała się.

— Więc mam rozumiéć — rzekła surowo — że ten młody człowiek, który tu co niedziela tylo dla ciebie przychodzi, który cię odprowadza do domu, nie jest twoim przyszłym mężem?

— Nie.

Panna Walerya, ilekroć była czém poruszona, mówiła bardzo prędko. I teraz też wyrazy zaczęły

wybiegać z jéj ust z taką szybkością, jak gdyby się goniły.

— Cóż to za bałamuctwo? — zawołała. — Dlaczegóż się tu schodzicie i wyglądacie, jakbyście bez siebie żyć nie mogli. Kimże on jest dla ciebie?

— Jest człowiekiem, którego kocham i który kocha mnie także — odparła Bronisia, patrząc śmiało w oczy staréj przyjaciółce swéj matki.

— Nie rozumiem, nic a nic nie rozumiem! On cię kocha, ty go kochasz i nie myślicie się pobrać, kiedy wam nic na przeszkodzie nie staje? To jest nienaturalne, niepraktykowane! Jak żyję, nie słyszałam o podobnym stosunku dwojga młodych ludzi! Czemużeś mnie wcześniéj o tém nie uprzedziła! A! tego się po tobie nie spodziewałam; nie, nie spodziewałam się — dokończyła panna Walerya mocno zgorszona.

— Ależ, pani — rzekła łagodnie Bronisia — w tém przecież niema nic złego.

— Niema! ale może być! O co łatwiéj, jak o złe? Boże jedyny! Jeżeli ty za niego iść nie chcesz, to chyba czekasz na kogoś lepszego, a jego trzymasz w odwodzie; a jeżeli on się z tobą żenić nie chce, no! to już nie powiem, co o tém myślę. Mojém zdaniem, powinnaś zerwać natychmiast tak nieprzystojny i niebezpieczny stosunek, który najgorszy koniec mieć może.

Błyskawice oburzenia zapłonęły w łagodnych oczach Bronisi.

— Ublizyłabym sobie i Maryanowi, gdybym to uczyniła — odrzekła dumnie.

— Maryanowi? I tak poufale mówisz o człowieku, który z jakichś tajemniczych powodów nie ma być nigdy twoim mężem? Może nawet w oczy nazywacie się po imieniu? I powiadasz, że w tém niema nic złego? Nie, moja kochana, rób jak chcesz, ale co ze schadzkami u mnie, to musisz się pożegnać. Nie mogę tolerować takich rzeczy!

— Pani mi swój dom wypowiada? — zawołała Bronisia powstając.

— Tobie, nie, ale tym spotkaniom z twoim... jakże go mam nazwać?... przyjacielem... musi być koniec. Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za opłakane następstwa, jakie ztąd wyniknąć mogą. Nie chcę stanowczo.

Bronisia zbladła bardzo. Nie była przygotowaną na taki obrót rzeczy.

— Niech się pani zastanowi — rzekła, siląc się na spokój — że to jest mój jedyny, jak go pani dobrze nazwała, przyjaciel. On także, prócz mnie, nikogo nie ma na świecie. Musimy się widywać! zanadto nam w życiu ciemno, żebyśmy się tego jedynego promienia, jaki nam przyświeca, wyrzekać mieli; a jeśli nam pani swojéj gościnności i opieki odmówi, gdzież ją znajdziemy? Nigdzie! Będziemy więc musieli obejść się bez niéj. Czyż to nie będzie gorzéj? Czyż ten wzgląd nie skłoni pani do cofnięcia swego postanowienia?

Wymówiła te słowa błagalnie i ze łzami w oczach, ale panna Walerya miała jednę z tych twardych, zaciętych natur, które umieją zawsze wytrwać przy swojém, bo ich to nic nie kosztuje. Moralność jéj była nielitościwą i potępiającą bezwzględnie, jak każda, która się przedewszystkiém na formach zasadza.

— Nie — odpowiedziała sucho. — Jak będzie, to będzie. To już rzecz wasza. Ale od tego umywam ręce. Dla spokoju mego sumienia i przez pamięć twojéj matki nie mogę inaczéj postąpić.

— Mojéj matki! — powtórzyła z goryczą Bronisia.

Duma zamykała jéj usta, ale uczucie zwyciężyło.

— To pani ostatnie słowo? — rzekła jeszcze.

— Ostatnie.

Młoda dziewczyna włożyła w milczeniu kapelusz i futro, pożegnała pannę Waleryę, która ją pocałowała w czoło, jak gdyby nigdy nic, i wyszła.

Łzy cisnęły się jéj do oczu. Na ulicy było już ciemno, gęsty welon twarz jéj zasłaniał, mogła więc płakać swobodnie. Pierwszy raz wracała sama tą drogą, z niepokojem o tego, który jéj tu zwykle towarzyszył, z myślą, że już nigdy przebywać jéj z nim nie będzie. Los, który tyle skarbów miał w zapasie dla innych, pozazdrościł jéj lichéj okruszyny szczęścia!

Gdyby nie nieobecność Maryana, nie byłoby przyszło do téj rozmowy, któréj wynik był tak okrutnym. Co go wstrzymało? Jeśli nie coś nieprzewidzianego, to powinien ją był przecież uprzedzić. A może wróciwszy do domu, list od niego zastanie?

Ale listu nie było ani dnia tego, ani dni następnych. Bronisia nie miała odwagi napisać sama do Maryana. Nietylko ciężko jej było zmartwić go tak niespodziewaną wiadomością, ale wstrzymywało ją jeszcze uczucie delikatności. Wszak powiedzieć mu dlaczego drzwi panny Waleryi zamknęły się przed nimi, byłoby rodzajem milczącego oskarżenia lub wyrzutu, boć nie kto inny, tylko on tak wyjątkowym stosunek ich uczynił. Gdyby nie jego usposobienie, mogliby się połączyć i pchać razem taczkę życia, jak tyle innych ubogich małżeństw, ale on wolał raczéj nie stanąć nigdy u celu, niż dopiąwszy go, przekonać się, że był mniéj pięknym niż marzenie o nim. Wolał, żeby ich miłość pozostała na zawsze pięknym choć smutnym snem, niż stawszy się rzeczywistością, zszarzała się i spospolitowała w zetknięciu z chropowatą treścią życia. Taką była marzycielska logika Maryana.

Nie mając nauczycielskiego powołania, Bronisia zawsze prawie musiała zadawać sobie gwałt, żeby spełniać sumiennie swe obowiązki. Jakże często myśli jéj były dalekie od francuzkich konjugacyj i niemieckich ćwiczeń, ile razy gamy wygrywane

drobnemi paluszkami Elci lub Mini przywodziły jéj na pamięć tę szarą godzinę, kiedy pocałunek Maryana przerwał jéj w połowie akordu! Gdy po lekcyach siadała sama w swoim pokoju i opierała znużoną głowę na ręku, stawało przed nią pełne goryczy pytanie: ile jeszcze dziecinnych umysłów przeznaczoném jéj jest zapoznać z tajemnicami gramatyki Chapsal'a i Noel'a, i ile małoletnich wirtuozek przeprowadzić przez zawiłości bemolów i krzyżyków. I na tém miała strawić całą młodość! w tém zamknąć całą przyszłość!

Ale niczém to było w porównaniu z powolną torturą tego długiego tygodnia, jaki po zerwaniu z nieugiętą panną Walerya nastąpił. Wszystkie najdotkliwiéj dręczące uczucia: niepewności, obawy, przygnębienia i głuchego buntu rozsadzały jéj serce. Chwilami doznawała takiego wrażenia, jak gdyby jéj tchu brakło, i wtedy ogarniało ją szalone pragnienie strząśnięcia z siebie jakiegoś niewidzialnego ciężaru.

Druga niedziela nadeszła i minęła. Bronisia powiedziała sobie, że Maryan musiał być u panny Waleryi i usłyszéć niecofniony wyrok i że teraz niewątpliwie napisze. Cztery dni jednak zeszło na próżném, gorączkowém oczekiwaniu. Musiało się z nim stać coś nadzwyczajnego, a to coś nie mogło być niczém inném jak nieszczęściem. Z pomyślną wieścią nie byłby się tak ociągał...

Ten okropny stan niepokoju i zawieszenia odbił się na powierzchowności Bronisi. W ciągu

zaledwie dni dziesięciu schudła i zrobiła się prawie przezroczystą, usta miewała spieczone, a w podkrążonych sino bezsennościami oczach palił się trawiący ją skrycie ogień. Nikt w domu nie zwracał na to uwagi, zwłaszcza że wszyscy zajęci byli przygotowaniami do ogromnego balu, jaki w końcu tygodnia miał zgromadzić sto kilkadziesiąt osób na salony państwa Augustów.

Tylko wzrok profesora, który przez ten czas kilkakrotnie był na herbacie, z większém natężeniem spoczywał na jéj bladéj, cierpiącéj twarzy. Nie było w tym wzroku współczucia, ale jakaś analistyczna ciekawość; parę razy nawet zabłysł w nim jakby rodzaj tryumfu.

W wigilię balu, kiedy pani Kora wyszła do magazynu dla ostatecznego przymierzenia sukni, a pan August był w sądzie, lokaj oznajmił Bronisi, że profesor pragnie się z nią widziéć. Bronisia zabierała się właśnie napisać do Maryana, nie mogąc dłużéj znieść jego milczenia, lecz położyła pióro i zdziwiona bardzo poszła do buduaru.

Profesor stał przy kominku, twarzą zwrócony ku drzwiom — z wyrazem, jakiego jeszcze u niego nie widziała. Malowało się w nim niespokojne gorączkowe postanowienie.

Ujrzawszy Bronisię, przystąpił do niéj z żywością.

— Wiedziałem, że zastanę panią samą — rzekł

prędko. — Pani Kora minęła mnie na ulicy. Muszę z panią pomówić.

— Słucham pana — rzekła Bronisia, cofając się trochę, bo stanął tak blizko, że uczuła jego oddech na swojéj twarzy.

Usiadła i czekała z bijącém sercem. Zdenerwowanie, w jakiém się znajdowała, czyniło ją wrażliwszą na wszystko. Profesor miał zawsze dar powiedzićć jéj coś zniechęcającego i przykrego — i teraz również nie obiecywała sobie żadnéj przyjemności po téj tajemniczéj rozmowie.

— Musiałaś pani zauważyć — zaczął on, siadając naprzeciwko niéj — że oddawna obserwuję panią. Obserwacye moje doprowadziły mnie do takiego rezultatu, że dziś znam panią również dobrze, jak pani siebie. O! bo pani się znasz, przyznaję ci tę rzadką wiedzę. I dlatego nie zaprzeczysz mi pani, że nie jesteś stworzoną na świętą Teresę, pałającą żądzą cierpienia, że nie masz wokacyi na męczenniczkę, ale wymagasz od życia, aby obok cierni miało swoje kwiaty i owoce. Tymczasem zbierasz pani tylko ciernie! Czujesz, że każdy dzień twojéj młodości odchodzi od ciebie, jak dłużnik, od którego nigdy zapłaty nie odbierzesz.

Umilkł na chwilę i wpatrzył się w nią z pod brwi zlekka ściągniętych, jakby chciał sięgnąć spojrzeniem aż do dna jéj duszy.

Wzrok ten zaniepokoił Bronisię bardziéj jeszcze niż słowa, które przecież zdawały jéj się bardzo dziwne.

— Nie pojmuję, do czego pan zmierzasz — rzekła zcicha.

Profesor ciągnął daléj:

— Kilka miesięcy zaledwie prowadzisz pani to życie maszynki, a dość spojrzéć na ciebie, by się przekonać jak jesteś znękana. Gdzież znajdziesz cierpliwość, by wytrwać przez długie może lata. A przypuściwszy, że ją znajdziesz, cóż z tego będzie? Ta niewdzięczna praca może ci zapewnić teraźniejszość, nigdy przyszłość. Gdy stracisz zdrowie, starość rzuci cię na pastwę nędzy lub miłosierdzia publicznego. Oto, jaki los cię czeka, panno Bronisławo, ciebie, która jesteś tak piękna i tak do szczęścia stworzona!

— Panie! — zawołała biedna dziewczyna — po co pan mówisz mi to wszystko! Prawda, jestem bardzo smutną i zbolałą, choć z innych może, niż pan mniemasz, powodów; dlaczegóż koniecznie chcesz pan, żebym się czuła jeszcze nieszczęśliwszą?

— Byłbym wistocie barbarzyńcą, — rzekł profesor — gdybym ukazywał pani zło, nie mając na nie lekarstwa. Ale tak nie jest. I z tém lekarstwem przychodzę do ciebie.

Wstał i pochylił się nad nią.

— Jesteś pani wolną — mówił stłumionym, głębokim głosem — powiedziałaś mi to sama; nie potrzebujesz więc zdawać przed nikim sprawy z twoich postępków; twoja osoba, nazwisko, przyszłość wyłącznie do ciebie należą. Postąp tylko krok jeden, a znajdziesz miłość, bogactwo, szczęście... życie! Ja ci dam wszystko. Bądź moją!

Ciemny rumieniec okrył jego policzki i czoło. Końce ust grubych i czerwonych drgały mu nerwowo, ukazując białe, błyszczące zęby; skronie pulsowały silnie, atletyczna pierś podnosiła się przyspieszonym oddechem. Brzydota jego, ożywiona namiętnością, miała w sobie coś szatańskiego, lecz i pociągającego zarazem.

Nastała chwila milczenia.

Wyznanie profesora oszołomiło Bronisię. Pierwszém jéj wrażeniem było zwykłe wobec nieprzewidzianych zdarzeń trwożne niemal, ogromne zdumienie, ale potém ogarnęło ją to samo uczucie wdzięczności, jakiego już raz doznała, gdy jéj powiedział, że się cieszy, iż nie jest zupełnie samotną na świecie. Jednak szlachetnym i pełnym serca musiał być ten człowiek cyniczny na pozór i bez zasad, skoro potrafił tak wniknąć w jéj położenie i tak bezinteresownie rękę do niéj wyciągnął. Ona przecież mogła mieć dla niego tylko jedne odpowiedź.

— Nazywasz mnie pan wolną — rzekła głosem pełnym słodyczy — i zapewne jestem nią,

jeżeli chodzi o zobowiązania. Dowiedz się pan jednak...

— Wiem wszystko — przerwał jéj niecierpliwie. — Nie zwykłem nic przez pół robić. Śledziłem panią nietylko tu, ale i poza domem. Wiem, gdzie spędzałaś niedzielne poobiedzia. Byłem u téj staruszki, i mniejsza o to jakim sposobem, dość że... dowiedziałem się wszystkiego.

— I pomimo to... — zaczęła Bronisia.

— I pomimo to! przerwał jéj znowu gwałtownie. — Jest to mrzonka, która wcześniéj czy późniéj się rozwieje. Pani nie kochasz tego człowieka, ani on ciebie, inaczéj...

Nie dokończył i pochwycił ją za rękę.

— Ja kocham ciebie! ja! — zawołał namiętnie. — Odpowiedz! Będziesz moją?

Dotknięcie jego rozpalonéj, suchéj dłoni, dreszczem przejęło Bronisię. Cofnęła się znowu.

— I pan tego żądasz odemnie — rzekła — pan, który przed paru tygodniami w tém samém miejscu radziłeś mi, żebym nigdy za mąż nie szła, wygłaszałeś takie okropne na małżeństwo poglądy?

Podniosła na niego wzrok pytający, ale tak pogodny i niezmącony żadnem podejrzeniem, że mimowoli puścił jéj rękę i może pierwszy raz w życiu ten człowiek zuchwały aż do bezczelności uczuł się zmieszanym.

— Nie zmieniłem ich — odparł trochę niepewnym głosem. — Miłość istniała wprzód nim stuła, i istnieć bez niéj może.

Straszliwe światło błysnęło w umyśle Bronisi. Teraz... zrozumiała! Uczuła jakby ogień w oczach i na twarzy, i podnosząc obie ręce, zakryła ją niemi, aby ten, który ją tak okrutnie znieważył, na jéj wstyd nie patrzył.

— Boże! — jęknęła rozdzierającym głosem — tego zawiele!

Zerwała się z krzesła, ale żelazna dłoń profesora wstrzymała ją w miejscu.

— Zostań! — rzekł głucho — przypomnij sobie kto do ciebie mówi, a przestaniesz się dziwić i oburzać. Jestem człowiek, który żadnych więzów ścierpieć nie może, który wolność swoję nad wszystko przekłada. Mogę cię kochać i być ci wiernym przez całe życie, gdy mi się tak będzie podobało, lecz nie będę cię kochał i nie będę ci wiernym z powinności choćby przez pół godziny. Cóżby ci więc przyszło z téj formy? A jeśli ci chodzi o ludzi, pojedziemy do Włoch, do Hiszpanii, do Ameryki! tam nikt nas znać nie będzie i nikt cię nie potępi; a co do mnie... wiedz, że miłość wolna, która gubi kobietę w oczach świata, w moich ją podnosi!

— Nie mów pan do mnie! — zawołała Bronisia — nie mów i puść mnie. Każde słowo pana jest dla mnie nową obelgą.

— Egzaltowana dziewczyno! — zawołał rozdrażniony w najwyższym stopniu wyrazem wstrętu i obrzydzenia, jaki się malował na jéj twarzy teraz już przerażająco bladéj. — Strzeż się! przywykłem łamać to, co mi się zgiąć nie daje.

Wyprostowała się ze szlachetną dumą kobiety silnéj swą cnotą i założyła ręce na piersiach.

— Spróbuj pan! — rzekła spokojnie. — Potrafię bronić mojéj czci, choćby kosztem życia. Zniewaga, jakąś mi pan wyrządził, spadłaby wieczną plamą na twój honor, gdybyś go posiadał. Ale to pamiętaj, że jest na świecie biedna, bezsilna dziewczyna, któréj pogarda dla ciebie większą jest jeszcze niż twoja nikczemność!

Odwróciła się i wyszła powoli, jakby czując się bezpieczną od dalszéj napaści.

Jakoż profesor nie próbował zatrzymać jéj tym razem. Stał nieruchomy, z ręką zaciśniętą w pięść i spoczywającą ciężko na filgranowym stoliku, a ruchliwe jego rysy mówiły o szaloném wewnętrzném wzburzeniu. Śniadawa jego cera zrobiła się prawie zieloną, szare oczy świeciły dzikim ogniem, przygryzał zębami dolną wargę i wyglądał jak stepowy koń, który po raz pierwszy poczuł wędzidło. On, którego nieokiełznana fantazya jak spieniona woda unosiła wszystko ze sobą, cofnąć się musiał przed oporem jednéj słabéj, bezbronnéj dziewczyny!

Na stoliku leżał nóż do papieru prześlicznéj weneckiéj roboty. Wziął go w trzy palce i złamał

jak słomkę, poczém ruszywszy ramionami, rozśmiał się z politowaniem. • Taka dziecinna zemsta mogła uspokoić tylko dziecko. Jemu potrzeba było silnego wrażenia, którémby się odurzył, pastwy dla rozkołysanych namiętności.

— Ślicznie! profesorze, przychodzisz, wiedząc, że mnie niema, i bawisz się psuciem ulubionych moich rzeczy?

Odwrócił się. We drzwiach stała pani Kora. Bobrowy kołpaczek przyciskał jej blado-złociste loczki; uśmiechnięta, rozpromieniona twarzyczka (suknia leżała pysznie) wychylała się, jak pączek różany, z ciemnego futrzanego kołnierza; aksamitny spacerowy kostium zdawał się przyklejony do jéj silnéj, lecz doskonale kształtnéj kibici. Była bardzo piękną — tą czysto ziemską pięknością, która działa potężnie . . . i na krótko.

Szczególny wyraz przemknął jak błyskawica po zmienionéj twarzy profesora, tak zmienionej, że pani Kora, podając mu rączkę, zawołała niespokojnie:

— Ale co panu jest? wyglądasz pan tak dziwnie!

— Jestem trochę niezdrów — odpowiedział stłumionym głosem.

— Jakto można? w wigilię naszego balu! Do jutra musisz pan wyzdrowiéć koniecznie.

— Postaram się . . . pod warunkiem, że mi pani przyrzekniesz pierwszego walca i mazura.

Pani Kora skinęła główką, rumieniąc się.

— Dziękuję — rzekł profesor i, odchyliwszy delikatnie rękawiczkę, przyłożył pałające jeszcze usta do miękkiéj, alabastrowo białéj rączki młodéj kobiety.

Było to po raz pierwszy, odkąd się znali...

VII.

Dochodziła dziewiąta. Bronisia siedziała przy oknie w swoim pamiątkowym fotelu po matce, w postawie wyrażającéj najgłębsze znużenie. Głowę miała opuszczoną na piersi, ręce spoczywały bezwładnie na poręczach.

Dzieci, które wcześniéj w tym dniu z powodu balu do snu ułożono, spały już w białych łóżeczkach, naprost łóżka nauczycielki stojących. Miarowe ich oddechy przerywały jedynie ciszę tego pokoju zanurzonego w niebieskawém półświetle wiszącéj u sufitu lampy.

Po chwili przerwał ją stłumiony jęk Bronisi. Wspomnienie wczorajszéj sceny z profesorem prześladowało ją jak okropna zmora. Nieokreślone uczucie, jakby bezpowrotnéj jakiéjś straty uciskało jéj serce. Mówiła sobie, że jego słowa i spojrzenia skaziły jéj duszę, że już nie będzie mogła chodzić

z podniesionem śmiało czołem, które rumieniec znieważonej godności niewieściej naznaczył. A Maryan? gdyby on się o tem dowiedział? O! ale się nie dowie — wolałaby pierwej umrzeć.

Tu myśli jej wzięły inny, niemniej bolesny kierunek. Co się z nim dzieje? Dlaczego tak uparcie milczy? Dziś zdobyła się wreszcie napisać do niego, jutro więc powinnaby mieć odpowiedź.

Drzwi otworzyły się pocichu i wsunęła się przez nie służąca z listem w ręku.

— Posłaniec przyniósł — rzekła, podając go Bronisi.

— Czy czeka na odpowiedź?

— Ej! nie, on jeszcze za dnia przyniósł, tylkom zapomniała oddać.

I wyszła.

Bronisia rozerwała kopertę, nie spojrzawszy nawet na adres. Od kogóżby to mogło być, jeśli nie od Maryana? Rzeczywiście — pismo było jego, choć nieco zmienione Rzuciwszy okiem na nagłówek, zauważyła także, że nosił datę ubiegłej niedzieli.

«I znowu dziś — pisał Maryan — o tej porze, o której co tydzień widywać cię przywykłem, jestem zamiast u naszej poczciwej staruszki, tu, w tych czterech ścianach, z gorączką, która mi przepala piersi, i bólem głowy, który mi ją rozsadza. Przez cały przeszły tydzień łudziłem się nadzieją, że wyzdrowieję do dzisiaj i dlatego nie odzywałem się do ciebie. Dziś widzę, że się na coś groźnego za-

nosi. Jestem tak osłabiony, że ledwo na nogach utrzymać się mogę, a położyć się w łóżko lękam, bo zdaje mi się, że umarłbym, jeżeli nie z choroby, to z braku wszelkiéj pomocy. Usługujący mi człowiek przychodzi tylko rano i w wieczór — z sąsiadami mymi nie mam żadnych stosunków, a ze znajomych, którzy mnie rzadko odwiedzają, nikt nie wie, żem chory. Jestem więc zupełnie osamotniony. O! gdybyś ty wiedziała, jaka to czasem straszna rzecz samotność! Gdyby mnie nie wstyd było, płakałbym jak dziecko i, jak dziecko matki, przyzwałbym ciebie, Bronisiu moja! Żebyś ty mnie twoją rączkę przyłożyć mogła do czoła, toby mi ulgę sprawiło. Ale pomiędzy mną a tą twoją rączką cała nieprzebyta przepaść... Bronisiu moja! czy ja ciebie jeszcze zobaczę? Nie wiem dlaczego myśl o śmierci ciągle mi się plącze po głowie. Rzecz dziwna, tak zawsze lekceważyłem życie, a jednak w téj chwili nie chciałbym umierać. Dlaczego? cóż mnie ono dać może... czegóż ja się mam prawo spodziewać! Przez te dni kilka, nie mogąc nic robić, myślałem wiele. Czuję, żem ciężko względem ciebie zawinił. Czemuś ty mnie poznała? Tobie potrzeba było męzkiego ramienia, na któremby się wesprzéć mogła, i pomocy dzielnéj, hartownéj dłoni. Wtedy mogłabyś być szczęśliwą i może byłabyś znalazła to szczęście. Ale ja wplątałem się w twoje życie, ja, biedna, waryacka dusza, która omyłką tylko na ten świat się dostała i miejsca sobie na nim

znaléźć nie może... Ale po co ja to piszę? Po co ja tak teraz przez długą, długą chwilę siedziałem z głową na rękach wspartą, wysnuwając myśl z myśli i nie zdając sobie nawet sprawy, że ty ich przeczuć nie możesz i że one nie powiedzą ci nic, dopóki ich w słowa nie przyoblekę. A ręka coraz wolniéj suwa piórem po papierze, powieki mi się zamykają... i głowa się słania ociężała. Zawezwę chyba doktora. Chciałbym przynajmniéj wiedzieć na co umrę... Nie, nie poślę ci tego listu, chyba, chyba gdyby miał być ostatniém pożegnaniem.»

Pod tym wyrazem, o parę wierszy niżéj, jeszcze bardziéj zmienioną ręką napisane było: «Piątek wieczór» czyli data dnia poprzedniego, a daléj następujące słowa:

«Jestem prawie pewny, że żyć nie będę... Z każdą chwilą mnie gorzéj... Doktor obiecuje na jutro przesilenie — wiem na czém się skończy. Niema we mnie już sił do zatrzymania uciekającego życia... Sprowadzono mi tu dozorczynię... Nie uwierzysz, jak mnie drażni ta twarz obca i znudzona, którą ciągle naprzeciwko siebie widzę... O! dlaczegóż ciebie tu niema! Już mi nie strach śmierci... chciałbym tylko umrzéć, patrząc w oczy twoje, z ręką w twojéj dłoni... wtedy nie skarżyłbym się na nic... i myślę, żebym lekko skonał. Ale to być nie może... Jeżeli odbierzesz ten list jutro, to

znaczy, że niema już żadnéj nadziei... Bronisiu! jedyna moja!... kocham cię...»

Ostatnie wyrazy były prawie nieczytelne.

Późnići dopiero, znacznie później, Bronisia odczytała ten list w całości. Teraz przebiegła go tylko oczyma, pochłaniając wyrazy, których znaczenie ginęło w jéj zmąconym umyśle jak dźwięk w próżni. To jedynie rozumiała, że Marvan był umierający, że gasł samotnie z ostatniém, niezniszczoném pragnieniem w sercu.

Obu dłońmi ścisnęła głowę i stała tak chwilę nieruchoma. Ani jedna łza nie zabłysła w jéj rozszerzonych przerażeniem oczach i nie spadła na pałające policzki — ani jeden dźwięk nie rozwarł jéj ust konwulsyjnie zaciśniętych... Poczém, ciągle milcząca, z gorączkowym, cichym pośpiechem, nie zważając, że list wysunął się z ręki i upadł na dywan, otwarła szafę, włożyła kapelusz i okrycie i wyszła, kierując się ku bocznym schodom, do których z jéj pokoju prowadziła ciemna, za skład różnych rupieci służąca garderoba, i równie ciemny, wązki korytarz. Z wyjścia tego rzadko kto korzystał — służba miała inne od kuchni — drzwi też były zawsze na klucz zamknięte. Bronisia otworzyła je i wzięła klucz ze sobą. Zrobiła to bezwiednie, nie myślała osłaniać tym sposobem tajemnicy swéj wycieczki. Sto oczu mogłoby na nią patrzéć w téj chwili, a byłaby poszła tak samo. Nie zastanawiała się nad niczém. Wszystkie względy znikły jéj z oczu —

pamiętała tylko, że ten, który był dla niéj całym światem, umiera opuszczony jak ci, których nikt nie kocha.

Nocne, ostre powietrze oprzytomniło ją, zaczęła drżéć mocno ze wzruszenia i strachu. Nigdy jeszcze nie znalazła się sama o téj porze na ulicy. Nie wiedząc którędy ma iść i nie chcąc rozpytywać przechodniów, biegła przed siebie i niespokojnemi oczyma szukała wolnéj dorożki. Na chodnikach było już prawie pusto, tylko rozmijające się karety turkotały głucho po stwardniałym od mrozu bruku.

Zmęczona, osłabła, dręczona straszną obawą czy nie przybędzie zapóźno, dopadła wreszcie pustego powozu i głosem, który wiązł jéj w gardle, podała niechętnemu dorożkarzowi adres Maryana.

W kwadrans potém wchodziła w bramę tego domu. Stróżka wskazała jéj drogę, obrzuciwszy ją spojrzeniem, które w każdéj innéj chwili wszystką krew sprowadziłoby jéj do twarzy.

Przebywszy niezliczoną ilość schodów, Bronisia dostała się na długi, dość obszerny, słabo gazem oświetlony korytarz. Kilkoro drzwi w równych odstępach po obu jego stronach umieszczonych, zupełna cisza i półmrok rozścielający się po ścianach i podłodze, nadawały mu jakiś klasztorny pozór.

Bronisia szła bojaźliwie od drzwi do drzwi, czytając wypisane na nich nazwiska. Przed ostatniemi wreszcie stanęła. Jedną ręką przycisnęła gwałtownie bijące serce, drugą zapukała ostro-

żnie. W téj saméj chwili drzwi przeciwległe otworzyły się i na korytarz wyszedł młody człowiek w szapoklaku na głowie. Biały krawat wyglądał mu z pod rozchylonego futra, w ręku trzymał białe rękawiczki. Przechodząc, od niechcenia rzucił wzrokiem na tę wysmukłą kobiecą postać, która stała zwrócona do niego profilem, lecz nagle twarz jego wyraziła pełne niedowierzania zdumienie.

Ona go nie spostrzegła. Drżąca jéj ręka poruszyła znowu klamką. Młody człowiek postąpił parę kroków i, stanąwszy z boku zajrzał jéj w same oczy.

Jeśli mu się na razie zdawało, że ją poznaje, to teraz nie mógł już miéć żadnéj wątpliwości.

Po krótkiém oczekiwaniu drzwi uchyliły się zwolna i widział, jak się z nknęły za młodą dziewczyną, któréj pytający, stłumiony głos, niewyraźnie doleciał jego uszu.

Młody człowiek pokręcił głową.

— No! no! — mówił do siębie, zbiegając na dół. — Guwernantka od Augustów, wchodząca o téj porze do kawalerskiego mieszkania... Dziś zaraz uprzedzić ich muszę, jaki miły znaleźli sobie egzemplarz. A wygląda tak świętoszkowato!...

Tymczasem Bronisia stała już przy łóżku głęboko uśpionego Maryana. Jeszcze w progu dowiedziała się, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Dozorczyni, któréj przybycie tak niespodziewanego gościa przerwało błogą drzémkę, powiadomiła ją, w dalszym ciągu ziewając: że zrana było bardzo

krucho, a po południu to pan tak jakby konał, więc wtedy kazał zawołać posłańca i jakiś list mu oddał, a potém stracił ze wszystkiem przytomność, ale ona, co już zwyczajna przy chorych, pomyślała zaraz, że z tego będzie albo coś bardzo złego, albo coś bardzo dobrego — no, i akurat tak się stało, bo doktor, który zaraz przyszedł, powiedział później, że się szczęśliwie przesiliło i pan teraz zasnął sobie spokojniusieńko, niby dziecko, pierwszy raz od tygodnia.

Bronisia słuchała tego opowiadania z oczyma wlepionemi w Maryana i ciche łzy płynęły po jéj policzkach.

Wielki, dziwny smutek wiał od téj bladéj, nieruchoméj twarzy. Nie było w niéj przecież wyrazu bólu, tylko ta szczególna pogoda, która oznacza zupełne wyczerpanie władzy cierpienia i przez to samo ma w sobie coś niewypowiedzianie rozrzewniającego.

Jedna jego ręka, chuda i sino-biała, była wyciągnięta na kołdrze. Mimowolnie Bronisia pochyliła się i dotknęła jéj ustami. Aczkolwiek dotknięcie było bardzo delikatne, Maryan poruszył się, westchnął głęboko i podniósł powieki.

— To ty! — szepnął bez żadnego zdumienia, jak gdyby się spodziewał, że ją zobaczy. — To ty!

I patrzył na nią wpół rozmarzonemi oczyma, uśmiechając się słabo.

— Tak, Maryanie — rzekła Bronisia, w obie dłonie ujmując jego rękę. — Czy ci lepiej?

Na dźwięk jéj głosu Maryan drgnął i z wielką trudnością dźwignął się nieco na poduszkach.

— Więc to ty naprawdę — wymówił — a ja myślałem... Jakaś ty dobra!

I znowu się w nią wpatrywał coraz przytomniéj, ściskał zlekka jéj rękę i do ust ją przytulał, powtarzając zcicha: Jakaś ty dobra!

Po chwili wzrok jego padł na dozorczynię, która stojąc w nogach łóżka, z ciekawością przypatrywała się téj scenie. Brwi mu się niecierpliwie ściągnęły.

— Bronisiu — szepnął, dając jéj znak, żeby się nachyliła. — Niech ta kobieta ztąd wyjdzie. Jéj obecność mnie drażni.

Posłuszna życzeniu chorego Bronisia pod jakimś pozorem wyprawiła dozorczynię na miasto.

— O tak! — mówił Maryan, gdy się za nią drzwi zamknęły — a teraz siądź naprzeciwko mnie i podaj mi twoję rączkę, o! tak!... — i po niejakim czasie dodał: — teraz jestem zupełnie szczęśliwy!

— Wiesz — ozwał się znowu — ja tak często marzyłem, żebym ciebie mógł tutaj zobaczyć... takie mi się to nieprawdopodobne zdawało... Mówią, że pragnienia umierających spełniają się... na téj zasadzie powinienbym teraz umrzéć.

Umilkł, nie odrywając od niéj oczu.

— Ale jakim sposobem dostałaś się tutaj? — zagadnął po pewnéj przerwie. — Czy z wiedzą...

— Bądź spokojny — przerwała Bronisia, choć serce zabiło jéj silnie. — Jestem zupełnie bezpieczna.

— To dobrze. Nie chciałbym za nic w świecie, żebyś z mojéj przyczyny naraziła się na jaką nieprzyjemność... Powiedziałaś pewno, że cię ktoś konający do siebie wzywa?

— Tak... tak...

Wstała i dla ukrycia pomieszania zdjęła kapelusz.

Futro już przedtém zrzuciła. Teraz, gdy się mogła zdobyć na rozwagę, powiedziała sobie, że źle zrobiła opuściwszy dom bez powiadomienia pani Kory. Przecież niczyja wola zatrzymaćby, jéj nie mogła. A gdyby przypadkiem spostrzeżono jéj nieobecność, jakież pole szerokie do uwłaczających jéj podejrzeń! Ale trudno — już się stało — zresztą, jeśli ją spotkają zarzuty, powie całą prawdę — a wtedy — któżby ją mógł potępić?

— Nie odchodź, Bronisiu — odezwał się Maryan prosząco. — To tak dobrze patrzéć na ciebie!

Siadła więc przy nim napowrót i uśmiechała się łagodnie, podczas gdy znużony rozmową odpoczywał, leżąc ze zwróconą ku niéj twarzą.

Tak ich zastała dozorczyni, która niezadługo potém wróciła i zaraz usnęła w kącie, oparłszy

głowę o drewniany postument, podtrzymujący Milońską Wenerę.

Około dwunastéj Bronisia spojrzała na zegarek.

Maryan przytrzymał jéj rękę.

— Zostań jeszcze trochę, jeżeli możesz — wyszeptał. — Ja pewno wkrótce zasnę, oczy mi się zamykają... wtedy odejdziesz. Gdy się obudzę, będzie mi się zdawało, że to był sen tylko i mniéj będę żałował, że się już nie powtórzy.

I Bronisia została. Maryan coraz rzadziéj odzywał się do niéj. Ciche, jednostajne sapanie dozorczyni (dozorczynie nigdy nie chrapią) kołysało go do snu, na rozjaśnioném czole osiadło spokojne, błogie rozmarzenie, jakby odblask nie wysłowionej miłości i słodyczy, jaka jaśniała ta twarz dziewczęca pochylona nad nim niby anioł opiekuńczy.

VIII.

Bal u państwa Augustów dochodził kulminacyjnego punktu swéj świetności.

Wszyscy już byli rozbawieni, nikt jeszcze nie był zmęczony. Panie jaśniały blaskiem podniecnéj tańcem urody, a najpiękniejszą z pomiędzy nich

była sama gospodyni w białéj atłasowéj sukni, ozdobionéj białemi strusiemi piórami, które przylegały delikatnie do jéj biustu i ramion, jakby z miękkiego alabastru utoczonych.

Profesor ścigał ją z zaiskrzonemi oczyma. Był szalenie wesoły, tańczył bez upamiętania i co chwila w bufecie wychylał kieliszek szampana. Pan August chodził rozpromieniony pomiędzy gośćmi. Lubił, gdy się u niego ochoczo bawiono i gdy ukochana żona ładnie wyglądała, a nigdy jéj jeszcze równie zachwycającą nie widział. Jakieś szczególne ożywienie czyniło ją taką.

Ona sama musiała sobie oddać tę sprawiedliwość, gdy w przejściu przez ustronny gabinecik, przytykający do bufetu, stanęła przed wielkiém lustrem, poprawiając białe pióro, brylantową agrafą wpięte w jéj jasne kędziory.

W sali tańczono kontredansa. Pani Kora, odwołana dla ważnéj kolacyjnéj kwestyi, nie brała w nim udziału.

Mogła więc przyglądać się sobie bez obawy niedyskretnéj przerwy w tém narcyzowém zajęciu. Znalazł się jednak ktoś, co je przerwał. Był nim profesor. Dostrzegł ją z pustego na tę chwilę bufetu i wszedł do gabineciku, przymykając drzwi za sobą.

Pani Kora zaczerwieniła się po same rzęsy swych ślicznych niebieskich oczu. Myślała właśnie o nim. Jego zagadkowo przyciszone słowa, po-

mieszane z melodyą walca, dźwięczały jéj w uszach. Nie mogła pojąć, jak i kiedy wpływ tego człowieka, jaki zawsze nad sobą czuła, ogarnął całą jéj wyobraźnię i zakradł się do serca. On umiał go używać, ona nie umiała go odpierać! Teraz ta wyobraźnia i to serce były jakby podminowane — wczorajszy długi pocałunek, na jéj ręce złożony, był pierwszą iskrą, która, jeśli nie sprowadziła wybuchu, wywołała ostrzegające wstrząśnienie. W téj chwili trzeba już było tylko jednego słowa...

Profesor zbliżył się do niéj. Twarz mu pałała winem i namiętnością.

Pochylił się nad nią i przemówił coś pocichu.

Młoda kobieta zrobiła taki ruch, jak gdyby chciała odejść. Zastąpił jéj drogę i mówił daléj. Słuchała go, nie przerywając. Głos jego czarował ją i przykuwał do miejsca, jak wzrok grzechotnika czaruje i ubezwładnia młode ptaszki. Ona sama była takim pięknopiórym, słabym, salonowym ptaszkiem... Uczuła, jak ramię jego opasuje zwolna jéj kibić, lecz nie wyrwała się z tego uścisku. Przechyliła tylko strojną swoję głowę i oparła ją na jego piersi.

— Rudolfie! — szepnęła rozmarzonym głosem— kochasz mnie?

On objął ją dziwnym wzrokiem.

— Piękna jesteś!... — rzekł zamiast odpowiedzi.

Kontredans już był skończony, gdy pani Kora pojawiła się w sali.

Zaledwie weszła, ten sam młodzieniec, który widział Bronisię na korytarzu, zbliżył się do niéj z pośpiechem.

— Od dwóch godzin czatuję na sposobność porozmawiania z panią — rzekł. — Rzecz jest, zdaje mi się, dosyć ważna.

Usunęli się we framugę okna. Młodzieniec zniżył głos i zaczął jéj coś opowiadać z tajemniczą miną.

Roztargniona zrazu twarzyczka pani Kory przybrała wyraz niepomiernego oburzenia.

— Czy podobna? — wykrzyknęła ze zgrozą.

— Może się pani będzie mogła jeszcze przekonać.

Wyszła śpiesznie i pobiegła do pokoju dzieci. Te spały różowe i uśmiechnięte; łóżko nauczycielki było puste.

Pani Kora stanęła na środku pokoju i załamała ręce.

Nie przyszło jéj na myśl, że tu, wobec tych niewinnych istot, których ojcem był jéj mąż zdradzony, nad samą sobą raczéj powinna je była załamać.

Leżący na ziemi list Maryana zwrócił jéj uwagę. Podniosła go, przeczytała, i ruszywszy pogardliwie ramionami, rzuciła napowrót.

— Niechcący naumyślnie — szepnęła. — Znamy się na tych wybiegach.

Poszukała męża, i odciągnąwszy go na bok, powiadomiła o tém co zaszło.

Szlachetne, otwarte oblicze pana Augusta, zachmurzyło się.

— Bezwstydna! wymówił przez zęby — tak mój uczciwy dom zniesławić!

Spojrzał z miłością na żonę.

— Trzeba ją natychmiast oddalić — rzekł. — Wstrętem mnie przejmują takie kobiety! Nie myśl już o tém, Orciu — dodał, widząc pewne zmieszanie na jéj twarzy. — Baw się, moje życie!

Pocałował jéj koralowe usta, i przeczucie nic mu nie powiedziało w téj chwili . . .

IX.

Pani Kora spała po balu do południa. Obudziwszy się, prosto z sypialni weszła do pokoju nauczycielki w haftowanym penioarze i koronkowym czepeczku na potarganych loczkach.

Bronisia kończyła ranne lekcye ze swemi uczennicami. Ujrzawszy ich matkę, dorozumiała się co ją sprowadza. Ta ostatnia odprawiła dzieci skinieniem.

Zostały same.

— Widziano panią wczoraj wieczorem, gdyś wchodziła do swego kochanka! — rzekła ostro żona pana Augusta.

Bronisia podniosła się blada lecz spokojna.

— Wchodziłam do umierającego człowieka — odpowiedziała pewnym głosem.

— To bardzo rozczulające — zauważyła sarkastycznie pani Kora — i ten list, który tu tak dziwnym trafem na ziemi się znalazł, był także bardzo patetyczny. Przewidywałaś pani, że całą noc nie kładąc się, zajrzę do dzieci... Planik zręcznie ułożony, szkoda tylko, że to wszystko zbyt na komedyę zakrawa.

— Pani mi nie wierzysz? — zawołała Bronisia, mimowoli podnosząc rękę do serca.

Pani Kora obrzuciła ją wyniosłém wejrzeniem.

— Nie jestem tak naiwną — odparła, cedząc każdy wyraz. — Domyślam się, że nie po raz pierwszy urządziłaś sobie pani tak piękną wycieczkę. Ale to będzie po raz ostatni. Od téj chwili nie masz pani miejsca w moim domu.

Bronisia zachwiała się.

Utrata miejsca w podobnych warunkach była dla niéj strasznym ciosem. Sama już myślała o tém z przykrością, że wypadnie jéj oddalić się ztąd, aby uniknąć zetknięcia z człowiekiem, na którego widok musiałaby się rumienić boleśnie, ale zostać tak poprostu wypędzoną z piętnem niesławy na czole!...

— Pani mnie gubisz! — szepnęła ledwie dosłyszalnym głosem.

— Samaś się pani zgubiła — odparła twardo pani Kora.

— Nie! — zawołała Bronisia, z nagłą mocą podnosząc głowę — spełnienie obowiązku nikogo nie gubi. Postąpiłam niebacznie lecz nie nikczemnie. Pani czytałaś ten list i nie wierzysz mi jeszcze? Czy podobna, abyś mnie pani sądziła zdolną do tak potwornéj przewrotności! do posługiwania się widmem śmierci dla osłonięcia poniżających mnie czynów? Nie! pani *musisz* to czuć, że jestem niewinna!

W głosie jéj była taka potęga prawdy i rozpaczy, że pani Kora uczuła się wzruszoną. Ale trwało to tylko chwilę.

— To już zostanie między panią a Bogiem — odrzekła chłodno. — Wszystkie pozory mówią przeciwko tobie. A zresztą, choćbym nawet uwierzyła pani, oddalić cię muszę. Osoba, która wczoraj widziała panią, z pewnością tego przy sobie nie zatrzyma. Cóżby o mnie powiedziano, gdybym cię nadal pod moim dachem zostawiła? Mój mąż, który ma tak surowe zasady, nigdyby się na to nie zgodził.

Wymówiła to bez zająknienia, jakby nie czuła, że w takim razie ona nie ma prawa ani chwili dłużéj pod tym dachem pozostać.

Nastało krótkie milczenie. Obie kobiety: potepiająca i potępiona, patrzyły na siebie.

— Dobrze — rzekła Bronisia już zupełnie innym głosem — za godzinę już mnie tu nie będzie.

Rzeczywiście, w godzinę potém dorożka odwoziła ją i jéj rzeczy do jednego z podrzędniejszych hotelów.

Pani Kora miała słuszność mówiąc, że osoba, która widziała Bronisię wchodzącą do mieszkania Maryana, nie zatrzyma tego przy sobie. Mogła była dodać, że i ona sama nie poczuje się do większéj dyskrecyi. Miała tyle znajomych, tyle serdecznych przyjaciółek, jakże nie podzielić się z niemi takim, bądźcobądź ciekawym skandalikiem!

Było nawet rzeczą bardzo naturalną, że gdy te damy w poufnéj pogawędce wyczerpały temat balowych toalet, tryumfów i porażek, pani Kora dla samego podsycenia rozmowy odzywała się: Wyobraźcie sobie, drogie panie... i tym sposobem historya Bronisi przechodziła z ust do ust z coraz nowemi dodatkami.

Względem jednego profesora tylko pani Kora okazała się wstrzemięźliwszą i nie śpieszyła z opowieścią... Nic dziwnego. Miała z nim o czém inném do mówienia!

On przecież był bardzo ciekawy dlaczego nie widuje Bronisi. Z początku myślał, że go unika, ale po paru tygodniach zaczął się niepokoić. Gniewał się na siebie, że pomimo wszystkiego ta dzie-

wczyna tak żywo go obchodzi — nie mógł się jednak przezwyciężyć, i pewnego popołudnia zapytał od niechcenia pani Kory, co się dzieje z nauczycielką jéj dzieci?

— Odprawiłam ją — odpowiedziała krótko.

Siedzieli w buduarze — ona na otomance, on zaś na blizkiém, ale to bardzo blizkiém krześle, tak jednak, aby każdéj chwili mógł się znaleźć w przepisanéj zwyczajami odległości.

Właściwie tego dnia przyszedł był do pana Augusta w interesie swojego procesu, ale pan August miał bardzo ważną konferencyę i prosił go, żeby trochę zaczekał.

— Moja żona dotrzyma panu tymczasem towarzystwa — powiedział, przeprowadzając go do buduaru... i pani Kora dotrzymała mu towarzystwa...

— Odprawiłaś ją? — zapytał, ściągając brwi nieznacznie.

— Tak! i dotychczas innéj znaleźć nie mogę. To prawdziwa klęska z temi nauczycielkami!

— Ależ z jakiego powodu? — ponowił niecierpliwie.

— Ach! okropność! Ta bezczelna dziewczyna... — i pani Kora zapewne po raz pięćdziesiąty zaczęła swoje opowiadanie.

Profesor słuchał z natężeniem. Wyraziste jego rysy mieniły się najróżnorodniejszemi uczuciami.

— Dzielna, niepospolita istota! — zawołał w końcu z zapałem.

Młoda kobieta spojrzała na niego z podziwieniem.

— Żartujesz chyba! — rzekła zwolna. — To zgubiona dziewczyna. Ja byłam tak oburzoną!...

Profesor nic nie odpowiedział, tylko wpatrzył się w nią bystro, takim wzrokiem, że zaczerwieniła się i spuściła oczy.

Otworzono drzwi i wszedł lokaj, niosąc list na srebrnéj tacce.

— Prosze pani... to przynieśli do téj guwernantki, co sie odprawiła... przyszedłem spytać, co z tém zrobić...

— Daj! zawołał profesor porywczo, zapominając w swéj gwałtowności o właściwém *decorum*.

Pani Kora zacisneła usteczka.

— Troche zaswobodnie rozporządzasz się *pan* w moim domu — rzekła z przekąsem po wyjściu lokaja.

— Zdaje mi się, że *pani* sama nadałaś mi w nim pewne prawa — odpowiedział wyzywająco.

Zamilkli oboje. Profesor silnie wzburzony obracał w ręku koperte.

— Pewno od jéj kochanka — rzekła wzgardliwie pani Kora.

Jemu krew uderzyła do twarzy. W jego sceptycznej, pełnéj sprzeczności duszy tkwiło wielkie uwielbienie dla wszystkiego co wzniosłe i czyste. Nie wierzył w cnotę kobiet, bo jéj dotychczas

w swém awanturniczém życiu nie spotkał; raz ją spotkawszy, gotów był paść przed nią na kolana. Bronisia stała się dla niego teraz ideałem téj cnoty, dumnéj, śmiałéj, zapoznanéj. Nie mógł ścierpiéć, żeby ją lekceważono.

— Ona nie jest niczyją kochanką! — odparł surowo.

— Zkąd pan możesz o tém wiedziéć?

Szare oczy profesora zamigotały niebezpiecznym ogniem. Sardoniczny uśmiech przemknął po jego ustach. Doznał okrutnéj radości na myśl upokorzenia téj kobiety tak nielitościwéj i bezpiecznéj nad brzegiem przepaści, w którą jedno jego słowo mogło ją wtrącić.

— Ztąd — rzekł, wymawiając każdy wyraz dobitnie — że nie chciała zostać moją!

X.

Profesor wrócił do siebie po gwałtownéj scenie z panią Korą. Krótki ich stosunek został stanowczo zerwany. Nie żałował go. Bronisia opanowała napowrót jego burzliwą, gorącą wyobraźnię.

Zabrał ze sobą list Maryana i zamyślił się nad nim, nie pojmując jakim sposobem człowiek

ten mógł nie wiedzieć gdzie się znajduje kobieta, którą kochał.

Tak jednak było. Bronisia chcąc utaić przed nim nieszczęście, jakie na nią spadło, zaraz po przeprowadzeniu się do hotelu napisała do niego, prosząc, żeby listy swoje wysłał *poste restante:* «Chciałabym mieć codziennie wiadomość o twojém zdrowiu — dodała w rodzaju objaśnienia — a tak częsta korespondencya zwróciłaby w domu niepotrzebną uwagę.»

Maryan uznał ten wzgląd za zupełnie słuszny. Żadne podejrzenie nie wkradło się do jego umysłu. Listy Bronisi były tak spokojne... a przecież biedna dziewczyna potrzebowała całego heroizmu swéj mężnéj duszy, żeby się nie zdradzić. Położenie jéj z każdym dniem stawało się rozpaczliwsze. Miejsca znaléźć nie mogła, szczupłe zapasy pieniężne wyczerpały się... groziła jéj nędza.

Profesor naturalnie nie mógł tego wszystkiego wiedzieć, ale sądził, iż w téj kopercie, którą trzymał w ręku, znajdzie słowo zagadki.

Po krótkiém wahaniu rozerwał ją i zaczął czytać:

Daruj, ukochana moja — pisał Maryan — że tym razem przekraczam twój zakaz, ale chciałbym jaknajprędzéj podzielić się z tobą wiadomością pewną i twego zdania zasięgnąć. Dziś, najniespodziewaniéj w świecie, przyszedł do mnie hrabia ***, ten, którego bibliotekę porządkuję i wiesz, co mi za-

proponował? oto, żebym z nim do Włoch jechał. Warunki wymarzone! Poczciwy staruszek jakoś dziwnie mnie sobie upodobał. Zostawia mi zupełną swobodę, chodzi tylko o to, żeby mu od czasu do czasu gazetę przeczytać i w szachy z nim zagrać. Uśmiechnął mi się zrazu ten projekt — nie tyle ze względu na moje zdrowie, któreby, rzecz prosta, na tém zyskało, bo o nie dbam niewiele — ale Włochy! marzenie moje! zaczarowany kraj piękna i pamiątek. Nie w taki sposób pragnąłem je zwiedzać... i w téj chwili zdaje mi się, że wcale nie pojadę. Ciężkoby mi było rozstawać się z tobą choćby na parę miesięcy. Czemu, ach! czemu ja ciebie zawsze przy sobie mieć nie mogę? Gdybyś wiedziała jak mi się te dni dłużą... Jakbym już pragnął módz wyjść i podziękować ci na klęczkach za to, coś dla mnie zrobiła... Kiedy o tém myślę... ale znowu kiedyż ja o tém *nie* myślę?... zdaje mi się, że zaciągnąłem dług, którego spłacić nigdy nie będę w stanie... Nie! nie pojadę stanowczo. Bronisiu moja! ty sama napisz mi: zostań.»

— Ach, to tak! — rzekł do siebie profesor. — Więc on chyba o niczém nie wie!

Pobiegł do biura adresowego, dowiedział się gdzie mieszka Bronisia, włożył list w inną kopertę, zaadresował, naśladując do złudzenia pismo Maryana, i wręczył posłańcowi z rozkazem, aby odpowiedź do niego przyniósł.

Nie minęła godzina kiedy ją już miał w ręku. Otwierając kopertę, doznał tak silnego wzruszenia, jak gdyby o rozstrzygnięcie jego własnych losów chodziło.

— Waryat ze mnie! — szepnął.

List Bronisi zawierał następujące słowa:

«Zdziwiłam się bardzo, zkąd ci wiadomy mój adres, zwłaszcza, iż nic mi o tém nie wspominasz. Jeżeli doszły cię jakie pogłoski, jakobym straciła miejsce, nie wierz temu. Porzuciłam je dobrowolnie z powodów, które ci ustnie wyjawię. Ale dosyć o mnie. Co się tyczy propozycyi tego zacnego hrabiego moja odpowiedź może być tylko jedna: Jedź, jedź, i jeszcze raz jedź! Wahanie twoje jest doprawdy grzechem przeciw Opatrzności, która ci to tak cudownie zsyła. Piszesz, że ciężkoby ci było rozstawać się ze mną. Wierzę temu najzupełniéj — ale widzisz, mój drogi Maryanie, teraz i tak, wskutek różnych okoliczności, o których potém, bardzo rzadko moglibyśmy się widywać — a przecież nie pojechałbyś na zawsze. Zresztą od czegóż poczta. Ja już teraz zaczynam się cieszyć na listy, jakie do mnie będziesz z Włoch pisywał. Dla samych listów powinieneś pojechać.»

Profesor nie czytał daléj. Rozumiał dobrze, ile rozdzierającego bólu kryło się pod temi żartobliwemi słowy.

— Dzielna, niepospolita istota! — powtórzył z tym samym zapałem, który wywołał także zgor-

szenie pani Kory. — Co za zaparcie się siebie! Ale nie! — dodał po chwili z silném postanowieniem — człowiek, któremu ty wieczną poprzysięgłaś wzgardę, nie dopuści, żebyś się stała ofiarą swego poświęcenia!

Właściwością profesora było, że nigdy od raz powziętego zamiaru nie odstępował. Najdziwaczniejsze pomysły, zrodzone w nierachującém się z niczém uniesieniu, wykonywał potém z taką zimną krwią, z jakąby wypił filiżankę herbaty lub ukłonił się komuś na ulicy.

To też twarz jego nie zdradzała żadnego wzruszenia, gdy nazajutrz około drugiéj po południu dzwonił do mieszkania Maryana.

— Jestem Rudolf Zaklinka — ozwał się zaraz w progu, gdyż Maryan sam mu otworzył — ważny interes sprowadza mnie do pana.

— Służę panu — rzekł Maryan trochę zdziwiony.

Weszli do pokoju — lecz nim usiedli, zmierzyli się wzrokiem.

Typowe ich postacie tworzyły ze sobą rażącą sprzeczność.

Maryan wątły, blady, z rysami wydelikaconemi chorobą, z wieczną zadumą na czole i w smutnych, głębokich oczach wyglądał jak ucieleśniona abstrakcya, podczas gdy atletyczna budowa profesora, twarz ruchliwa o ciemnej, gorącéj cerze, i wzrok

bystry, mający połyski stali, przedstawiały tętniące życiem połączenie duchowéj energii i materyalnéj siły.

A przecież na dnie tych dwóch, tak odrębnych pozornie natur, leżało jedno wielkie podobieństwo: dążenie do wyłamania się ze zwykłych warunków bytu — tylko, że w pierwszym objawiało się ono marzycielską biernością Hamleta — w drugim czynną żądzą używania Fausta.

— Oto przedewszystkiém odpowiedź na wczorajszy list pana — ozwał się profesor, podając mu rozerwaną kopertę Bronisi.

Maryan nie miał czasu zdziwić się nad tak szczególniéjszem pośrednictwem obcego człowieka w jego korespondencyi — inna okoliczność bardziéj go uderzyła.

— Ten list był otwierany? — rzekł pytająco-twierdzącym tonem.

— Tak.

— Kto to uczynił?

— Ja.

— Przejąłeś go pan?

— Nie inaczéj.

Słowa te wypadły im z ust krótko i groźnie, na podobieństwo sygnałów rozpoczynającéj się walki.

— Przejąłem także list pana — dorzucił profesor.

Maryan zbladł. Zimna krew jego gościa zakrawała na urągowisko.

— Co to znaczy... panie Rudolfie Zaklinka? — zapytał wstając.

Nazwany nie ruszył się z miejsca.

— To znaczy — odparł — że pan mnie wysłuchasz spokojnie — bo celem moim jest dobro kobiety, którą kochasz, a którą ja — zatrzymał się, widząc zaś, że Maryan osunął się machinalnie na krzesło: — Otóż tak, to rozumiem — ciągnął daléj. — Przedewszystkiém powinieneś pan być bardzo zadowolonym, że list pana wpadł w moje ręce, inaczéj byłby tak samo czytany, tylko nie byłby doszedł swego przeznaczenia... Panna Bronisława od trzech tygodni opuściła dom państwa X.

— Od trzech tygodni! — zawołał Maryan z dreszczem okropnego przeczucia. — I... dlaczegóż taiła to przede mną?

— Dlatego, że ją wypędzono... przez pana!

— Wypędzono!

— Tak, wypędzono — powtórzył nielitościwie profesor, patrząc na Maryana, który chudemi rękami twarz sobie zasłonił — wypędzono jak ostatnią z kobiet. Od wczoraj dopiero wiem o tem, ale dość mi było kilku godzin, żeby wszystkie szczegóły pozbierać. Wiem zatém, że napróżno stara się o inne miejsce i jestem pewny, że je nieprędko znajdzie... bo wieść o jéj przygodzie do-

szła i do kantorów nauczycielskich. Jest więc bez chleba... ale to jeszcze mniejsza. Straciła dobre imię... droższe jéj nad życie, tak... droższe... sama mi to kiedyś powiedziała. — Słowa te wymówił wolniéj, jakby do siebie; wspomnienie okóliczności, w jakich to usłyszał, stanęło mu przed oczami. — Pana jest rzeczą, żeby strata nie była bezpowrotna. Zamiast jechać do Włoch, powinieneś zostać i dać jéj własne nazwisko w zamian za to, które z przyczyny pana bezduszny wyrok świata zbezcześcił... Jest jeszcze jeden człowiek — dodał po krótkiém milczeniu — który dziś, w téj chwili, nazwałby ją swoją żoną, choć nie ma dwudziestu czterech godzin jak, jeśli czego był pewien, to tego, że się nigdy nie ożeni... Tym człowiekiem jestem ja... ale pomiędzy mną a nią stoisz pan... i... Tu na twarz profesora wystąpił lekki rumieniec... echo ostatnich słów Bronisi odezwało się w duszy...

Pomiędzy nim a nią stało jeszcze coś więcéj... jéj pogarda.

Maryan miał wciąż twarz ukrytą w dłoniach i milczał.

Profesor podniósł się z krzesła.

— Teraz wiesz już pan wszystko — rzekł. — Oto mój adres. Jeślibym mógł panu być w czém pomocnym, proszę sobie o mnie przypomnieć.

Położył kartę na stoliku, poczém, nie żegnając się i nie żegnany, wyszedł...

W połowie schodów zatrzymał się i otarł chustką wilgotne nieco czoło.

— Gdyby wyraz *obowiązek* istniał dla mnie — rzekł półgłosem — powiedziałbym, że go spełniłem w téj chwili.

Zostawszy sam, Maryan nie zmienił postawy. Był jak człowiek skrępowany, któregoby spuszczono w głęboką suchą studnię, wołając nań szydersko: wydobądź się! Odkrycie profesora było dla niego tą studnią. Cóż za straszny fatalizm wisiał nad jego dolą... Jedne tylko istotę na świecie kochał i stał się sprawcą jéj nieszczęścia. Powiedziano mu, żeby ją ratował. Jak? Żeniąc się z nią? Ależ, przez Boga, tylko ktoś nieznający ani jego natury, ani położenia, mógł mu podać taką radę. Żenić się!... teraz, kiedy wycieńczony i zdenerwowany chorobą, mniéj niż kiedykolwiek czuł się zdolnym do przepchnięcia się bodaj tylko samemu przez życie, kiedy po zrzeczeniu się posady nie miał żadnego punktu oparcia, — znaczyłoby wyciągnąć to biedne, ukochane dziewczę z jednéj przepaści po to, by ją wraz z sobą w drugą pogrążyć. A znowu, czy mógł żyć ze świadomością okrutnéj, nienaprawionéj krzywdy, jaką jéj mimowoli wyrządził? Jedno i drugie było niepodobieństwem!

Cóż więc miał począć?

Czuł, że mu się w głowie miesza, że bezsilna, głucha rozpacz, hucząca w jego piersi, doprowadzić go może do szaleństwa.

Pochwycił niewyjęty jeszcze z koperty list Bronisi, czytał i odczytywał go po kilkakrotnie i... płakał. Łzy pozwoliły mu nieco lżej odetchnąć. Straszliwy chaos otaczał go ciągle, ale z chaosu tego wynurzały się, niby jeden stały punkt, te słowa nawiasem rzucone: «Pomiędzy mną a nią stoisz pan.»

Przypomniał sobie, że nazwisko profesora nie było mu zupełnie obcém. Bronisia mówiła mu o nim kiedyś. Powoli przypomniały mu się inne szczegóły. Ten człowiek był podobno bardzo bogatym... postępek jego dzisiejszy dowodził, że musiał być szlachetnym... mógłby ją może uczynić szczęśliwą, a więc... a więc...

I znowu zawirowało mu w myślach, zimny pot wystąpił na czoło... list Bronisi trząsł się w jego drżących rękach.

Wodził po nim ociężałym wzrokiem, zatrzymując się na każdym wyrazie, jak gdyby każdy opowiadał mu długą i bolesną historyę.

— O, ty moja anielska! — szeptał — ty moja święta i zgubiona!... przeze mnie... przeze mnie...

Czuł, że musi coś zdziałać koniecznie — ale co? Do jakiegoż czynu *on* mógł być zdolnym?

Zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju nierównemi kroki, potykając się o sprzęty, z ruchami lunatyka.

Tocząca się w nim walka odebrała mu władzę

powodowania sobą i miotała jego ciałem, jak wiatr wolnym liściem. Widział tylko jedne drogę wyjścia... tę, która mu błysnęła w pierwszej chwili rozpaczy, lecz zagradzało mu ją to wszechludzkie uczucie, co się dokoła najczarniejszej nawet doli jak bluszcz owija, a zowie się przywiązaniem do życia... W nim było ono słabsze, niż u bardzo wielu... tak słabe, że sam wątpił o jego istnieniu, teraz przecież odezwało się...

I Maryan pomimowolnie posłuszny temu głosowi szukał innego sposobu, powtarzając sobie ciągle, że go dłań niema, i gardząc sobą, że się wahać może... Krew falowała mu w tętnach i czerwonawa mgła przesłaniała oczy, wszystkie nerwy wyprężały się w nim jak struny bliskie pęknięcia...

Wreszcie gwałtownym ruchem odstawił krzesło, usiadł przy biurku i napisał dwa listy.

Pierwszy był bardzo długi. Maryan kilkakrotnie kładł pióro, jakby go już skończył, i brał je znowu... widocznie ciężko mu było rozstać się z tą ćwiartką papieru, na którą spływały ostatnie myśli jego serca, a byłyby i spływały łzy jego ostatnie, gdyby ich pozostałemi resztkami woli nie cofał w głąb' duszy. I pocóż ślady jego cierpień miałyby przetrwać swe źródło?

Drugi list zawierał tylko kilkanaście wyrazów skreślonych prawie spokojnie... Zapieczętował

tamten i wsunął oba w jednę dużą kopertę, na której położył adres profesora.

Dokonawszy tego, wstał i przystąpił do okna.

Było jeszcze widno; niebo powlekało się tą jednostajną szaro-niebieskawą barwą, jaką pogodny zachód czas jakiś po sobie zostawia.

Maryan oparł obie dłonie na przedzielającej szyby poprzecznéj ramie i patrzył w górę.

Był zupełnie wyczerpanym fizycznie i moralnie, ale to wyczerpanie nie miało w sobie nic przykrego. Sprzeczne prądy uczuć, szarpiące nim tak niedawno, zlewały się zwolna w jakąś jednę milczącą falę, która ogarniała łagodnie jego zmęczoną duszę, i odrywając ją nieznacznie od wszystkich znanych ziemskich wrażeń, unosiła ku czemuś odległemu i niewiadomemu.

Myślał, że jest jednak dziwnie potężna tajemnica w tej władzy człowieka, która mu daje możność w jednem mgnieniu oka, jednem poruszeniem palca rozwiązać zagadkę bytu i zdobyć więcej, niż zdobyła cała ludzkość w tytanicznych wysiłkach swego rozumu przez wszystkie wieki.

Odurzonego tą myślą, jak narkotykiem, nie zdejmował nawet lęk żaden, nie drażniła żadna wątpliwość... Świat usuwał się z przed jego oczu, wszystko dokoła niego i w nim stawało się szare i jednostajne, jak to niebo, w które się wpatrywał.

Raz tylko jeszcze, raz jedyny błysk wzruszenia przebiegł po jego woskowo-bladéj, odrętwiałéj twarzy... Wtedy przyłożył palce rąk splecionych do ust i posłał niemi w przestrzeń cichy pocałunek... Poczém uśmiechnął się... i z tym uśmiechem, w którym odbiła się cała dziwaczna mieszanina pierwiastków, składających jego naturę, powoli odstąpił od okna.

W téj saméj chwili Karol, wesoły jego rówiennik, szczęśliwy narzeczony fabrykującéj sztuczne kwiaty Stefci, wychodził od siebie, zdążając w stronę jego mieszkania.

O chorobie Maryana dowiedział się dopiero, gdy już ten z łóżka się podnosił, i zburczawszy przyjaciela, że go natychmiast nie zawezwał, odwiedzał go teraz dosyć często.

Szedł, nie śpiesząc się, pogawędzić z nim o szaréj godzinie, i szarzało téż już trochę, gdy stanął u celu.

Dwukrotnemu pociągnięciu dzwonka nie odpowiedział żaden szelest z wewnątrz. Karol spróbował klamki, drzwi ustąpiły pod naciskiem.

— To dopiero — pomyślał wchodząc — śpi jak zabity, i drzwi zostawia otwarte. Mogliby go okraść jak nic.

Zdjął pocichu paletot w przedpokoju i posunął się daléj na palcach z zamiarem przestraszenia nieopatrznego, jak mniemał, śpiocha.

Nagle zatrzymał się i krzyknął przeraźliwie.

Na fotelu leżał trup Maryana z przestrzeloną skronią. Kilka kropel skrzepłéj krwi błyszczało na jego długich, spadłych z czoła włosach, a z rewolweru, który pozostał w zaciśniętéj dłoni, unosiła się jeszcze woń siarki.

XI.

Upłynął miesiąc. Wiosna odetchnęła kwietniową swą piersią nad samobójczą mogiłą Maryana i pokryła czarną jej ziemię drobną murawą, którą codziennie przygniatały kolana klękającéj na niéj Bronisi.

Miała ona dosyć czasu na te żałobne pielgrzymki.

Przewidywania profesora sprawdziły się. Wszystkie uczciwe rodziny zamykały drzwi swoje przed nauczycielką, o któréj, gdy kto chciał zasięgnąć bliższych szczegółów, dowiadywał się skandalicznych rzeczy. Śmierć Maryana dolała jeszcze oliwy do ognia. Jego sąsiad zaniósł tę nowinę pani Korze jako przyczynek do swego odkrycia, i oboje wyprowadzili ztąd taki wniosek, że niewątpliwie zdrada kochanki popchnęła go do tego rozpaczliwego kroku.

— Po takich kobietach wszystkiego spodziewać się można — utrzymywała pani Kora, puszczając w kurs swoje hypotezy.

Od pewnego czasu w charakterze jej zaszła zmiana. Ona, niemająca wogóle żadnych wyraźnie określonych przekonań, zrobiła się teraz krańcową rygorystką na punkcie moralności. Lada pyłek winy zamieniał się w jej wypieszczonej rączce w ciężki kamień obrażenia. Gdy zaś szło o Bronisię, wyrażała się o niej już nietylko bezwzględnie, ale po prostu z zajadłością.

Obraz tej bladej, spokojnej dziewczyny łączył się u niej ze wspomnieniem najdotkliwszego dla kobiety upokorzenia, którem przypłaciła swą grzeszną namiętność, jedyną namiętność,. jaka kiedykolwiek wstrząsnęła jej drzemiącą duszą.

Więc znienawidziła ją skrycie za to, że przeszła nietknięta przez ten sam ogień, któremu ona dała się osmalić, i mściła się na niej jawnie, nie omijając żadnej sposobności postawienia jej za przykład, do jakiego stopnia obłuda zepsucia dojść może. Sam nawet pan August dziwił się trochę zbytniej surowości żony, chociaż mówił sobie, że, bądź co bądź, ma ona do tego niezaprzeczone prawo.

Raz także przy wzmiance o Bronisi zrobił uwagę, że ten narwaniec profesor musiał nią być chyba zajęty, bo teraz znowu tak rzadko bywa i tylko w interesie, ale pani Kora zaprzeczyła temu

bardzo energicznie i powiedziała mężowi wręcz, że nie posiada żadnego daru spostrzegawczości.

A tymczasem biedna ofiara potwarzy musiała krwawiącemi się rękoma rozwijać dalej czarne pasmo swej doli. Wprawdzie ten, który stając się swym mordercą, stał się zarazem jej katem, nauczył ją, że można przeciąć to pasmo, gdy je zbyt ciężko rozplątać, ale ona odwracała się z przerażeniem od takiej nauki po to, żeby, z takiem samem przerażeniem spotkać się oko w oko z życiem. Czemże ono teraz było dla niej, jeżeli nie okrutną, rozpaczliwą koniecznością? Otoczyła ją bezbrzeżna pustynia, a na tej pustyni nieszczęście podawało jej rękę, mówiąc: Pójdziesz tak ze mną aż do końca.

Samobójstwo Maryana dowiodło jej, że najokropniejsze nieszczęście może mieć jeszcze swój stopień wyższy. Gdy biegła owéj pamiętnéj nocy przez puste ulice przyjąć jego ostatnie tchnienie, czyż mogła przypuścić, że nadejdzie dzień, w którym powie sobie z rozpaczą: Dlaczegóż wtedy nie umarł? Tak! dlaczegóż śmierć, jeśli miała przyjść koniecznie, nie przyszła sama wziąć go bezwładnego w swoje ramiona, odwołanego głosem Boga, pożegnanego jej modlitwą? Potrzebaż było, żeby on poszedł na jej spotkanie jak zuchwały wyzywca, z krwawą pieczęcią buntu na czole?

Zdawało jej się, że go straciła dwa razy: przez boleść zgonu i przez zgrozę zbrodni. Jaki

powód włożył mu w rękę zabójcze narzędzie — o tém nie miała się nigdy dowiedzieć. Ostatni list Maryana, który ją doszedł w równie niewytłumaczony sposób jak poprzedni, był rodzajem spowiedzi, nieżądającéj rozgrzeszenia, garścią luźnych myśli rzuconych na papier w namiętném wzburzeniu z początku, z rosnącą w dalszym ciągu cichą tęsknotą. Nie zaczynał się nawet od tradycyonalnych w takich razach słów w rodzaju: «Gdy otrzymasz ten list, już mnie między żyjącymi nie będzie...» Ostatnie wyrazy dopiero potrącały jakby mimochodem o straszną prawdę.

«Chciałem — kończył Maryan — raz jeden, jedyny, odsłonić przed tobą całą moję duszę, zanim ją noc wieczna ogarnie. Całe moje życie było szeregiem samych dysonansów... im wcześniéj ta źle nastrojona struna brzęczéć przestanie, tém lepiéj... Przebacz mi wszystko tak, jak ja cię kocham, i jak ci dziękuję... za wszystko!»

I więcéj nic!...

Ta ponura spuścizna była jedynem towarzystwem Bronisi w samotności maleńkiego pokoiku, jaki sobie w najtańszéj dzielnicy miasta najęła. Z wielkim trudem znalazła wreszcie parę nędznie płatnych lekcyj, i z nich, oraz z drobnych, dorywczych zajęć, przy niezmiernéj oszczędności utrzymywała się, oczekując czegoś stalszego. Nikt ją nie odwiedzał; nie dlatego, żeby o niéj zapomniano,

lecz że nie było komu o niéj pamiętać. Tak przynajmniéj mniemała — tymczasem myliła się.

Myśl profesora Rudolfa Zaklinki krążyła nad nią bezustannie. Nieprzewidziany skutek jego interwencyi wywarł na nim silne wrażenie. Z jednéj strony czuł się względem niéj winnym niedźwiedziéj przysługi, z drugiéj — miał już teraz rozwiązane ręce, mógł działać. Ale musiał czekać, aż czas przysłoni trochę zakrwawione widmo Maryana. Ta potrzeba hamowania się, tak mu niezwykła, rozegzaltowała go, i nigdy serce nie miało tyle udziału w jego wzruszeniach jak w dniu, w którym powiedział sobie wreszcie: «Dziś pójdę do niéj.»

I poszedł.

Zastał ją zdejmującą kapelusz po powrocie z cmentarza, ze śladami świeżych łez na twarzy. Gdy zapukał, odwróciła się, zdziwiona niespodzianemi odwiedzinami, lecz gdy zobaczyła kto jest jéj gościem, zadrżała i rumieniec oburzenia oblał jéj czoło.

— Czego pan żądasz? — rzekła surowo.

Profesor nic nie odpowiedział. Stał przy drzwiach i patrzył na nią z osłupieniem. Wielki Boże! cóż się z niéj przez te kilka tygodni zrobiło! Wychudła tak, że żałobna zniszczona suknia wisiała na jéj zaklęsłych ramionach, nadając jéj pozór zaniedbania, pomimo że zaniedbaną nie była. Kości policzkowe uwydatniały się pod powlekającą je pożółkłą skórą, a dokoła lekko zaczerwienionych

powiek bystre oko mogło dostrzedz siatkę drobnych zmarszczek. Usta jej, zawsze blado-różowe, były teraz zupełnie bezkrwiste, a końce ich zwieszały się ku dołowi, dwoma wyraźnemi rysami odcinając się od policzków.

Cierpienia i łzy mogą dodać uroku tylko kwitnącej nadmiarem zdrowia fizycznej piękności, dla delikatnej, duchowej urody, są prawie zawsze zabójcze.

— Czego pan żądasz? — powtórzyła Bronisia.

On jeszcze milczał. Działo się z nim coś dziwnego. Zapał miłości, który go tu jakby na skrzydłach przyniósł, ostygł w nim raptem, zmrożony nieopisanie przykrém zdziwieniem.

Postąpił krok naprzód i prawie mimowoli:

— Jakżeś pani zmieniona! — wykrzyknął.

Uśmiechnęła się pogardliwie.

— Sądzę — rzekła — że *teraz* pan sam wyjdziesz, nie czekając aż...

Nie dokończyła i spojrzała ku drzwiom wymownie. Zaczerwienił się, bo odgadła po części jego uczucia. Była istotnie błyskawiczna chwila, że się chciał cofnąć i uciec, ale ambicya szlachetnego postanowienia wzięła w nim górę.

— Nie — odpowiedział — zostanę, i pani nie będziesz potrzebowała pokazywać mi drzwi. Takie serce jak twoje powinno umieć przebaczać... przebacz mi więc i... bądź moją żoną!

— Ach! — ciągnął daléj, spostrzegłszy jéj mimowolne poruszenie — patrzysz na mnie ze zdziwieniem i niedowierzaniem . . . czyż sądzisz, że ustami, które splamiło bluźnierstwo, nigdy już nie może poruszyć modlitwa?

Zbliżył się do niej, ale nie śmiał dotknąć jej ręki. Oswojony już nieco z jej widokiem, odnajdywał w jej przyćmionych oczach tę samę, wyjątkową słodycz, która go naprzód oczarowała, a w całéj postaci ten sam urok melancholii i prostoty. Bądź co bądź — nie przestała być sobą.

— Milczysz pani — rzekł łagodnie — dlaczego milczysz?

Jéj usta się trzęsły od wielkiego wzruszenia, i upłynęła długa chwila, zanim mogła przemówić.

— Jakto — odezwała się wreszcie urywanym głosem — pan, który ofiarowałeś mi hańbę wtedy, gdy na mojej opinii nie było żadnej skazy, chcesz mi dać swoje nazwisko teraz, kiedy świat nazywa mnie zgubioną?

Wymówiła ten wyraz z podniesioną głową, jak ta, która czuje, że on jej się nie należy.

— Świat i ja nie chodziliśmy nigdy jednemi drogami — odpowiedział — zresztą świat nie zna prawdy, a ja ją znam.

— Pan ją znasz?

— Czyżbym tu był inaczej?

Umilkli oboje. Bronisia usiadła w fotelu, bo nogi pod nią drżały; on wziął sobie krzesło

i rozglądał się po pokoju, myśląc o jej smutnem, wykolejoném życiu, zamkniętem wśród tych ścian tak lichych i ciasnych. Nie! nie odejdzie od niej z niczem — niepodobna, aby mu się ztąd wyrwać nie dała!

— Nie żądam od pani miłości... teraz — przemówił — wiem, że ona z czasem przyjdzie, że potrafię na nią zasłużyć. Jeden akt twego życia rozegrał się i kurtyna zapadła, ale na tem nie koniec. Słabą jest ta władza kochania, która się na jedno uczucie zużywa.

Wstrząsnęła boleśnie głową.

— Być może — rzekła — tylko nie wtedy, gdy krew, smierć i niesława wplotą się w to jedno uczucie. Wtedy akt pierwszy stać się musi ostatnim.

Spojrzał na nią zaniepokojony.

— Przecież mnie nie odtrącasz? — zawołał.

— Nie, tylko zwracam panu to, czego przyjąć nie mogę. Panbyś w tém szczęścia nie znalazł, a ja...

Łzy jej się zakręciły w oczach — odwróciła się, żeby je ukryć.

— Zostaw mnie pan mojemu losowi — odezwała się znowu — świat mnie odepchnął; bardzo prędko zapomni o mnie. Wracać do niego byłoby to budzić umilkłe echa. Ja już nie mam prawa być niczyją żoną.

— A jednak — zawołał nierozważnie — jest to jedyna droga do rehabilitacyi.

— Do rehabilitacyi? — powtórzyła dumnie — pan, znając prawdę, musisz wiedzieć, że się rehabilitować nie potrzebuję.

— Wiem, o! wiem! — odpowiedział z żywością — ale mniejsza o ludzi i ich sądy. Tu chodzi o panią... o mnie! Dawniej kochałem cię tylko... teraz mam cześć dla ciebie... Wszystkie uczucia, z których dumnym być mogę, tobie zawdzięczam. Zostań przy mnie, jak mój dobry anioł.

Bronisia patrzyła na niego zamyślona. Przypomniała jej się ostatnia z nim rozmowa, tak niepodobna do tej, jak kałuża do górskiego źródła. Kiedyż ten dziwny człowiek był bardziej sobą: czy wtedy, gdy jej mówił: «Bądź moją kochanką,» czy teraz, gdy ją prosił: «Zostań przy mnie, jak mój dobry anioł?»

Przenikliwe oczy profesora zdawały się czytać w jej duszy.

— Nie dowierzasz mojéj stałości? — zawołał.

Spuściła głowę i milczała.

— Gardzisz więc mną jeszcze? — rzekł głucho.

— Nie — szepnęła — ale zapomnieć nie mogę... nie zapomnę nigdy!

— Odejdź pan — dodała po chwili, wstając — nie powinieneś się spodziewać niczego ode mnie, której ludzie zabrali życie i wszystko.

Było coś takiego w jéj głosie, że zrozumiał, iż jéj się musi wyrzec po raz drugi i na zawsze.

Wstał także bardzo wzruszony, ale trudno mu było odejść. Zdawało mu się, że żegnając ją, zrywa znowu z tém wszystkiém, co w nim podniośléjszego było.

— Powiedz mi pani przynajmniéj — odezwał się drżącym głosem — czy ja nic dla ciebie zrobić nie mogę? Czy ci czego nie potrzeba?

— Mnie potrzeba tylko pracy — odpowiedziała z cicha.

Przystąpił do niej — i ruchem pełnym uszanowania zgiął przed nią kolano.

— Pozwól mi! — rzekł, widząc, że się cofnęła — *tak* jeszcze przed żadną kobietą nie klęczałem.

Przycisnął do ust jej rękę, i Bronisia uczuła na niej ciepło dwóch łez spadłych z oczu tego cynicznego pesymisty.

* * *

I życie potoczyło się dalej, unosząc na swoich falach ludzkie dole, to płynące łagodnie z prądem, to szamoczące się z wirami, to idące na dno. Dlaczego na tem dziwnem morzu ginie tam często najlepszy sternik, gdzie się ocala zręczny nurek — któż odgadnie? Któż odgadnie, dlaczego występna żona i niegodna matka znalazła na niem spokojną żeglugę, a niewinna, szlachetna dziewica — rozbicie? Pozory stały się pasem bezpieczeństwa dla jednej, kamieniem młyńskim dla drugiej. I tylko jeden Bóg na niebie wiedział, i jednemu człowiekowi na ziemi tajnem nie było, która z nich była prawdziwie . . . *zgubioną*.

Warszawa, w maju 1883. r.



